Egzemplarz obowiązkowy

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Król ze Świdnika

Alicja Chwałczyk: „Antoni Król przez te 5 lat nieźle poduczył się prawa. Strzela paragrafami, przytacza ustawy, wie, co należy się ludziom uprawiającym ziemię. Ma też wielu doradców. Wszystkie świnie chowane w jego chlewie należą do lokatorów z pobliskich bloków..."

Nowotwory nad wodą

Romuald Wiśniewski: „Głowa pęka, gdy się myśli o tym, co się dzieje nad jeziorami lubelskimi. Kto jak kto, ale architekci, urbaniści, ekonomiści, socjologowie powinni wiedzieć, jak budować ośrodki wypoczynkowe..."

W kręgu „Orientacji"

Jerzy Leszin-Koperski: „Pokolenie „Orientacji" nigdy nie ogłosiło wspólnego programu ani manifestu. Nie startowało też z własnym pismem. Rozpoczęto od zwykłych spotkań autorskich, jednak o znamiennym tytule „Pokolenie, które wstępuje."

Smak miłości i łez

Niezależny organ „Kameny" — Poste Restante — rozpoczyna serial: powieść pt. jak wyżej. Tekst krąży w ręcznych odpisach głównie między dziewczętami w wieku szkolnym.

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 9 IV 1972 Nr 8 (493) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Fot. Kurt Borck

Czy zburzymy Bramę Krakowską?

Alicja Kurzątkowska

„Fundacja" nowego Starego Miasta nastąpi zapewne jeszcze w tym roku, w dniu, w którym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie zatwierdzi miejscowy plan szczegółowy zagospodarowania przestrzennego dzielnicy staromiejskiej w Lublinie. Nie będzie chyba dużej przesady w stwierdzeniu, że plan ten to prawie nowy akt erekcyjny lubelskiego Starego Miasta i tylko przy pełnym zrozumieniu wagi tego dokumentu oraz po wszechstronnej jego ocenie podjąć można ostateczną decyzję zatwierdzającą. Do projektu planu sporządzonych zostało kilka koreferatów specjalistycznych ustosunkowujących się do poszczególnych zagadnień. Ze względu na to, iż podstawowym elementem w organizmie staromiejskim, czymś, co go określa i warunkuje, jest zabytek — dla prawidłowego rozpoznania problemów konserwatorskich zlecono aż dwa koreferaty. Tylko też tym zagadnieniom poświęcony będzie niniejszy artykuł.

PROJEKT planu zagospodarowania Starego Miasta wykonany jest bardzo starannie, co trzeba podkreślić tym mocniej, iż sporządzony został rzeczywiście w przeciągu bardzo krótkiego czasu i to nie w pracowni urbanistycznej przygotowanej do tego rodzaju robót, lecz w pracowni architektonicznej. Ponieważ autorom planu nie można było dostarczyć wszystkich koniecznych materiałów wyjściowych, część z nich musieli przygotować sami w postaci prac studialnych (np. studium nasłonecznienia).

Zlecenie opracowania planu skierowane zostało do specjalistycznego przedsiębiorstwa — Pracowni Konserwacji Zabytków. Nie jest to jednak równoznaczne z absolutną trafnością wszystkich rozwiązań konserwatorskich, choć takie nadzieje mogli żywić zleceniodawcy.

Tylko wykonanie nielicznych planów miejscowych wychodzi na zewnątrz Pracowni Urbanistycznych. Na tej właśnie zasadzie powstał w latach 1963—1967 plan szczegółowy Starego Miasta w Zamościu. Sporządzony on został w lubelskim „Miastoprojekcie" w zespole mgr inż. arch. Zofii Hamanowej. Wykonano go zresztą w trzech alternatywach, z których początkowo żadna nie uzyskała akceptacji i dopiero czwarta redakcja, uwzględniająca wszystkie zastrzeżenia władz konserwatorskich została przyjęta.

Opozycjoniści stwierdzą zapewne, że Lublin to nie Zamość, co łatwo da się zreplikować wyjaśnieniem, iż w sensie prawnym wszystkie zespoły i obiekty zabytkowe są równie ważne, bo przy wpisywaniu do rejestru zabytków nie operuje się kategoriami.

Ale nie tylko formalnymi przesłankami można bronić wartości Lublina. Posiada on po prostu innego rodzaju walory. Na wyjątkową indywidualność, zwłaszcza lubelskiego Starego Miasta, składa się wiele jakości historycznych i artystycznych, plastycznych, architektonicznych i urbanistycznych, a ich ekspresyjność jest wynikiem szczególnie atrakcyjnego wkomponowania ośrodka staromiejskiego w pejzaż. Właśnie w przypadku Lublina element ten jest tym istotniejszy, że skala naszego miasta jest jednak dużo większa niż np. Kazimierza czy Sandomierza.

Na urbanistyce Lublina w sposób istotny zaważyły dwa etapy historyczne: średniowiecze i okres konstytucyjny Królestwa Polskiego. Można

Dokończenie na str. 6—7

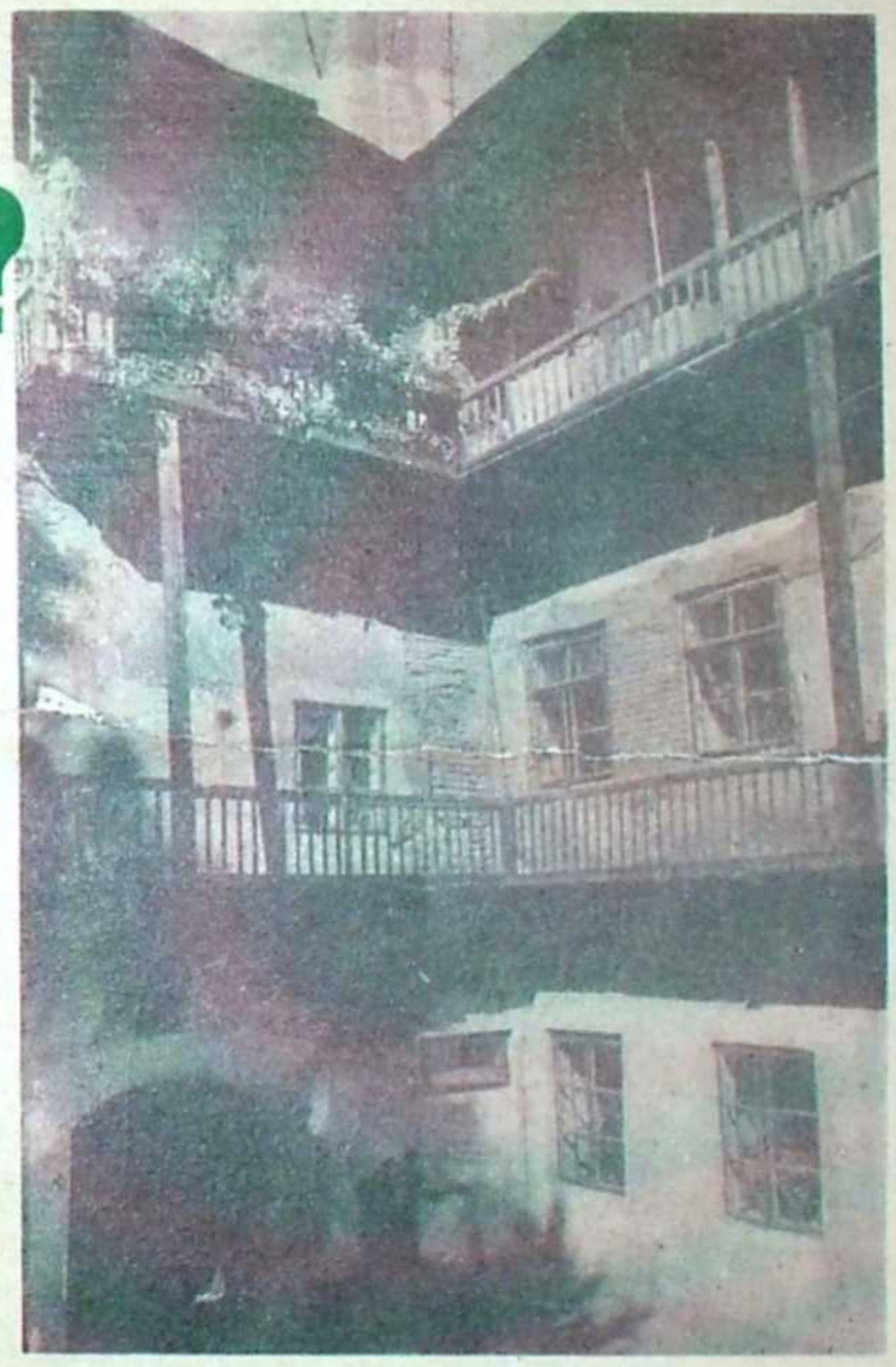

Dziedziniec przy ul. Złotej (róg ul. Klonowicza) Archiwum B.D.Z.

KADRY

Maciej Podgórski

PODOBNO mamy jeszcze w Polsce czterech dyrektorów przedsiębiorstw, którzy nie legitymują się nawet pełnym wykształceniem podstawowym. Jeśli fakt ten można potraktować jako anegdotkę i mówić o nim z niejakim humorem, to przede wszystkim dlatego, że obecnie jest on raczej już tylko reliktem, a rok ubiegły i bieżący jest okresem, kiedy dokonuje się szeregu uzasadnionych przesunięć na stanowiskach kierowniczych w gospodarce uspołecznionej. Dziś w polityce kadrowej stawiamy na wykształcenie, przygotowanie zawodowe, czyli po prostu na fachowość.

Dalsze powodzenie takiej polityki kadrowej będzie zależało — sprawa oczywista — od możliwości aktualnego rozpoznawania stanu kadry kierowniczej w naszej gospodarce. Dyrekcje poszczególnych przedsiębiorstw znają własną sytuację w tym zakresie, znają ją dyrekcje zjednoczeń. Nie zawsze jednak informacje na ten temat szybko docierają do zainteresowanych organów władzy i administracji państwowej. Proszę znaleźć kogoś, kto pod koniec pierwszego kwartału bieżącego roku umiałby w Lublinie odpowiedzieć na pytanie dotyczące wykształcenia i kwalifikacji zawodowych kadry kierowniczej zatrudnionej w ubiegłym roku w gospodarce uspołecznionej województwa.

Dziennikarz w tym układzie skazany jest na informacje wyrywkowe — łagodnie mówiąc — niekompletne i nie zawsze porównywalne. Znacznie łatwiej jest uzyskać ogólne dane o poziomie wykształcenia ogółu zatrudnionych bez rozbicia na stanowiska kierownicze i pozostałe.

Dokończenie na str. 6

Nowotwory nad wodą

Romuald Wiśniewski

PIĘTNASTEGO marca. Śniegu od dawna ani na lekarstwo. Niebo bez chmur. Słońce przygrzewa. Temperatura powietrza w południe wynosi plus 12 stopni. Tylko od wody ciągnie chłód. Jezioro Firlej pod Lubartowem ciągle pokryte jeszcze 30-centymetrową warstwą lodu. Ale za byle ścianką osłaniającą od wiatru jest tak ciepło, że obaj z kierowcą ściągamy koszule, żeby zafundować sobie choć kwadrans opalania. Jest spokojnie, cicho, o wiele piękniej niż w upalne dni letnie, w które tabuny wycieczkowiczów przewalają się nad brzegami, hałasują, ryczą radiami tranzystorowymi nastawianymi na pełną moc. Ech, wziąć kilka dni urlopu, posiedzieć w tej ciszy, patrzeć na topniejący lód, wypocząć! Marzenie ściętej głowy, przecież nie ma ani jednego ośrodka wczasowego czynnego cały rok, a przynajmniej już o tej porze — podpowiada mi pan Mieczysław, nasz kierowca.

No tak, nie ma. Duże jezioro o powierzchni 86 hektarów. Do wąskiego kawałka brzegu przylega wieś Firlej. Obok łąka i kawałek trawiastej, lekko podmokłej plaży. I jeszcze dwa jęzory lasu schodzące aż nad wodę. Reszta brzegów jeziora zabudowana ośrodkami wypoczynkowymi. Najstarszy należy do Ligi Obrony Kraju. Mały baraczek mieści bazę noclegową i biura sekcji żeglarskiej LOK. Niedaleko stary, drewniany hangar na łodzie. Wokół — kilkanaście domków campingowych; zwykłych, z dykty, tak niskich, że trzeba pochylać się mocno przy wchodzeniu. Żadnych wygód; tyle, że można wyspać się porządnie, bez obawy pogryzienia przez komary oraz zostawić rzeczy osobiste zamknięte na klucz. Naturalnie w czasie sezonu, bo teraz na przedwiośniu zamarzłoby się w nocy na kość.

Ośrodek LOK to przykład typowej prowizorki z okresu, gdy nie było pieniędzy na lepsze urządzenia. Barak i domki już zapewne się dawno zamortyzowały. Będzie można rozebrać je bez żalu i zbudować na tym placu jakiś piękny, duży obiekt wypoczynkowy o standardzie

Dokończenie na str. 6—7

teatrnn.pl

KULTURA 1972

Literatura

● Wrocławski oddział ZLP liczy 52 pisarzy. Po raz pierwszy prezesem została kobieta — Urszula Kozioł. Nowi gospodarze miasta doceniają literatów, co wyraziło się m.in. w solennej obietnicy przydzielenia im do końca roku 10 mieszkań.

● Równo przed 50 laty ukazał się w Krakowie pierwszy tomik poezji Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, wydany własnym nakładem i z okładkami własnymi poetki.

● W plebiscycie na najpopularniejsze książki pisarzy wielkopolskich zwyciężyli: w prozie Arkady Fiedler z powieścią „Piękna, straszna Amazonka", w poezji Lech Konopiński ze zbiorem „Rajskie jabłuszko".

● Nakładem wydawnictwa „Nasze Vojsko" ukazała się w przekładzie czeskim książka J. Meissnera „Podniebna husaria".

● W USA opublikowano 800 stron rękopisu Ernesta Hemingwaya pt. „Afrykański dziennik". Autor pisał go w latach 1954—56, ale nie zakończył tekstu, prawdopodobnie pochłonięty czym innym. „Dziennik" jest historią safari, które Hemingway odbył jesienią 1953 roku wraz ze swą trzecią żoną, Mary.

● Pod schodami domu, w którym przed 10 laty zmarł William Faulkner, znaleziono 2 tys. stron rękopisów pisarza, m.in. brakującą dotąd część powieści „Pylon", rozmaite wiersze, szkic sztuki oraz powieść „Gdy leżę umierając".

● Londyński „Times" w porozumieniu z pewnym wydawnictwem ogłosił konkurs na powieść kryminalną. W jury zasiądzie m.in. Agatha Christie.

Teatr

● Na tegoroczny Przegląd Teatrów Zawodowych Małych Form w Szczecinie, zwany popularnie Szczecińskim Tygodniem Teatralnym, zgłoszono aż 63 spektakli. Komisja jednak zakwalifikowała do udziału tylko 18 najlepszych monodramów oraz spektakli kilkuosobowych.

● W Gdyni rozpoczęto budowę nowoczesnego teatru dramatycznego z trzecią co do wielkości salą teatralną w kraju. Trwają również przygotowania do budowy gmachu dla opery i filharmonii.

● PIW zapowiada wydanie dwutomowej monografii, najobszerniejszej z dotychczasowych, Wojciecha Bogusławskiego, pióra Zbigniewa Raszewskiego.

● Marcowy numer francuskiego czasopisma „Travail theatral" przyniósł szereg pozycji o teatrze polskim.

● W paryskim Theatre de l'Est Parisien odbyła się prapremiera napisanej przed 40 laty przez Brechta sztuki „Święta Joanna Szlachtuzów".

● Sensacją teatralną w Moskwie jest „Hamlet" w modernistycznej inscenizacji w teatrze Na Tagance. Hamlet nie jest postacią pełną wahań i wewnętrznych zwątpień, lecz gniewnym młodym człowiekiem, walczącym z diabolicznym władcą, ale i ostro krytykującym samego siebie za bierność i obawę przed śmiercią. Hamlet występuje w grubym, czarnym swetrze, Gertruda w wełnianej sukni maxi, w kilku scenach akcentami dekoracyjnymi są ludzkie czaszki.

Sztuka

● W Zielonej Górze odbyła się pierwsza wystawa plastyki, grafiki i rzeźby jugosłowiańskiej.

● W Łodzi powstał oddział Wydawnictw Artystyczno-Graficznych. Pierwsze pozycje obejmą monografie Łodzi z okazji 550 rocznicy nadania jej praw miejskich (1423 r.) oraz zabytkowych obiektów.

● Na aukcji w Nowym Jorku zapłacono 260 tys. dolarów za rzeźbę 73-letniego Henry Moore — najwyższą, jaką kiedykolwiek zapłacono za dzieło żyjącego rzeźbiarza. Wykonana w drzewie wiązu rzeźba kobiety ma 185 cm wysokości.

Muzyka

● Warszawska Filharmonia Narodowa rozpoczyna trzymiesięczny cykl koncertów muzyki francuskiej z różnych epok i różnych form. Występować będą także zespoły i soliści francuscy.

● Nakładem Rady Naczelnej ZSP ukazała się publikacja „Ballada wojenna", obejmująca prawie 100 pieśni patriotycznych, żołnierskich i partyzanckich począwszy od XV wieku do chwili obecnej.

● Wanda Wiłkomirska z wielkim powodzeniem występuje na tournee w Stanach Zjednoczonych, prezentując m. in. utwory Szymanowskiego.

● W kwietniu przyjedzie do Polski Karel Gott. Tylko w roku ub. na całym świecie sprzedano 2,5 mln jego płyt.

● Mistrz jazzu, słynny Duke Ellington, oświadczył w wywiadzie w telewizji brytyjskiej, że od 20 lat marzy o napisaniu opery, ale wciąż nie pozwalają mu na to obowiązki bieżące.

Film

● Nakładem Wydawnictwa Artystycznego i Filmowego ukazała się bogato ilustrowana książka Stanisława Janickiego „Film polski od a do z". Jest to kompendium wiedzy o polskiej kinematografii w okresie ostatnich 75 lat.

● Reż. Roman Wionczek przygotowuje 8 z kolei film, poświęcony walce Polaków w czasie II wojny światowej. Tym razem tematem będzie konferencja poczdamska. W roli Stalina wystąpi Mariusz Dmochowski, Churchillem będzie Mieczysław Pawlikowski, Trumanem — Jerzy Kaliszewski, Bierutem — Mieczysław Milecki.

● Po nieudanym wyjeździe w okolice Mińska, gdzie zabrakło śniegu do nakręcania scen w Wodoktach i Wolomontowiczach, reż. J. Hoffman przeniósł się z „Potopem" do wytwórni w Łodzi.

● W jednym z najnowocześniejszych kin Chicago odbył się festiwal filmów polskich.

● Za najlepsze filmy radzieckie wyświetlane w zeszłym roku czytelnicy „Sowietskiej Kultury" uznali kolejno: „Dworzec białoruski", „Król Lear", „Salut Maria" i „Biały ptak z czarnym piętnem".

Lubliniana

* Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie otrzymało swojego patrona i nazywa się obecnie PLSP im. Cypriana Norwida.

* W każdy wtorek o godz. 18 w lubelskim klubie MPiK odbywają się ciekawe prelekcje z cyklu „Lubelszczyzna do roku 1980".

* Staraniem Koła Polonistów UMCS odbyła się dwudniowa sesja naukowa, poświęcona Cyprianowi Norwidowi.

* W odpowiedzi na marcową wizytę węgierskiego zespołu tańca ludowego z uniwersytetu w Debreczynie, w kwietniu wyjeżdża z rewizytą chór UMCS z dyrygentem K. Górskim.

* W połowie marca odbyła się w Lublinie sesja wyjazdowa Klubu Krytyki Teatralnej SDP. W ciągu 2 dni gościom pokazano 10 przedstawień w Lublinie i 1 w Puławach, w tym prapremierę „Kartoteki" Różewicza w teatrze dramatycznym.

* Na czwartą wystawę „Przeciw wojnie", która zostanie otwarta w Lublinie w maju, zakwalifikowano 68 prac malarskich, 55 grafik oraz 20 rzeźb 81 autorów z różnych środowisk. Najliczniej reprezentowane są Warszawa, Łódź i Lublin. Następna, piąta wystawa, odbędzie się nie za trzy, ale za dwa lata, w 30-lecie PRL i wyzwolenia Majdanka.

Różne

● Radiowy plebiscyt na najlepsze słuchowisko radiowe w 1971 roku zakończył się zwycięstwem „Wesela" Wyspiańskiego w reżyserii Zdzisława Nardellego.

● W sierpniu przypada 10 rocznica śmierci Leona Kruczkowskiego. Ostatnio w Pile nowy Dom Kultury otrzymał jego imię — wydarzenia w tym właśnie mieście stały się inspiracją sztuki „Pierwszy dzień wolności".

* W końcu września w Olsztynie i Fromborku odbędzie się ogólnopolskie sympozjum kopernikowskie pisarzy i naukowców. Imprezy towarzyszące obejmą m. in. prapremierę sztuki, nagrodzonej w konkursie na temat kopernikański oraz wystawy plastyczne.

* Wydawnictwo Literackie w Krakowie rozpoczęło dwudziesty rok istnienia. W roku bieżącym wyda ono 140 tytułów w nakładzie około 2 mln egzemplarzy, w roku przyszłym 160 tytułów. Nową specjalizacją WL będzie literatura latyno-amerykańska.

* Dużym powodzeniem w Tallinie cieszy się balet popularnego kompozytora Eino Tamberga pt. „Jonanna opętana", który powstał pod wpływem filmu Kawalerowicza „Matka Joanna od Aniołów", opartego na opowiadaniu Iwaszkiewicza.

* Halina Ułanowa, niemal legendarny symbol maestrii choreograficznej, obecnie pedagog w moskiewskim Teatrze Wielkim, obchodziła 60-lecie urodzin. Z tej okazji powiedziała m. in.: „z pochwał i zachwytów nad moją sztuką poważnie brałam tylko trzydzieści procent, reszta mogłaby mi zaszkodzić w doskonaleniu rzemiosła".

* Cała prasa światowa donosiła, że z pewnego kościoła w Londynie skradziono obraz Tycjana „Zwiastowanie", podarowany kościołowi przez jednego ze zmarłych już arystokratów. Fachowcy dopiero teraz twierdzą, że była to kopia, gdyż oryginał został zniszczony w Hiszpanii w 1814 roku.

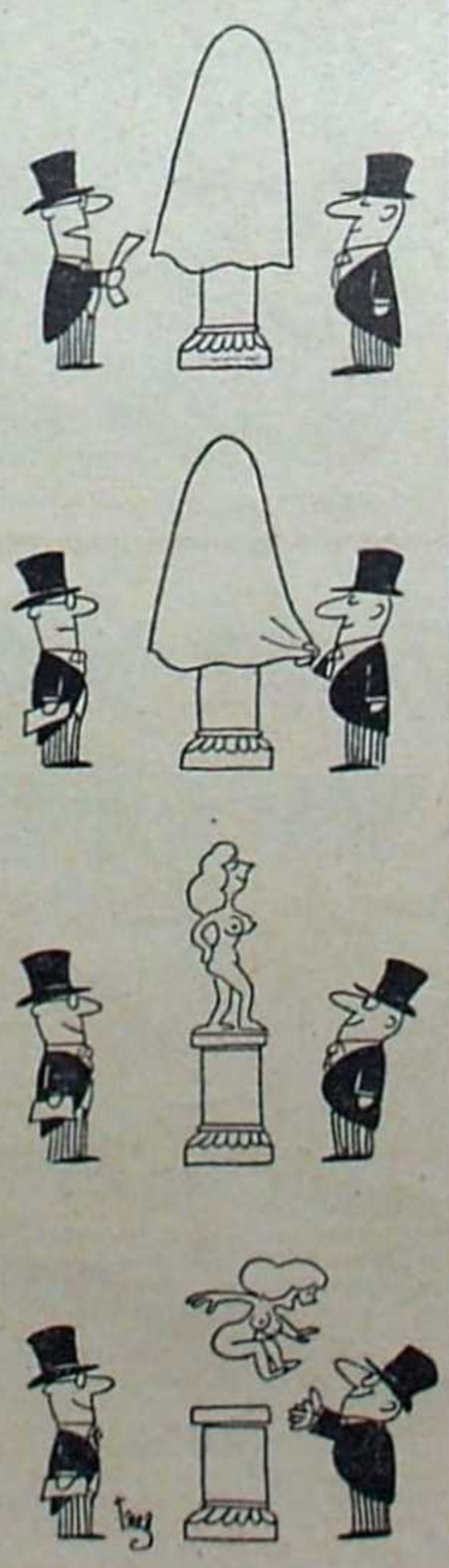

Bomba Husajna

ZNANY publicysta egipski Hajkal, związany niegdyś bardzo blisko z prezydentem Nasserem, wystąpił z tezą, że rok 1972 — w odniesieniu do spraw bliskowschodnich — może być rokiem spisków. Inauguruje je głośna propozycja jordańskiego władcy, Husajna, który nieoczekiwanie przedstawił plan utworzenia — pod berłem Haszymidów — państwa federacyjnego, złożonego z Jordanii i Cisjordanii (terytorium na zachodnim brzegu rzeki Jordan, a więc palestyńskie). Z państwem tym byłaby również stowarzyszona strefa Gazy, aczkolwiek leżałaby ona poza jego granicami.

Plan wywołał istną burzę w świecie arabskim. Najczęściej powtarzającym się słowem jest z d r a d a. Organizacje palestyńskie wręcz nawołują do obalenia króla Husajna, z którym zresztą mają stare porachunki. Przeciwko komandosom palestyńskim, przeciwko wielkim rzeszom uchodźców z Cisjordanii skierował on działa. Obecne propozycje godzą w ideę powstania odrębnego państwa palestyńskiego.

Nie brak głosów, że Husajn przed publicznym ujawnieniem szczegółów swego planu przeprowadził tajne rozmowy z przedstawicielami Izraela. Arafat, przewodniczący Organizacji Wyzwolenia Palestyny, twierdzi nawet, że władca jordański widział się z Goldą Meir, o czym wiadomo „ponieważ jeden z oficerów armii jordańskiej, który był obecny, uciekł do Kairu i przekazał szczegóły tego tajnego spotkania". Według Arafata spotkanie to miało się odbyć pod Akabą.

Izrael, oczywiście, zaprzecza, ale niezbyt przekonywająco. Minister spraw zagranicznych Izraela, Aba Eban, wyraźnie zastrzegł, że jego kraj nie krytykuje tej części planu, która dotyczy wewnętrznej organizacji królestwa, wypowiada się natomiast przeciw projektowanym granicom. W myśl żądań izraelskich Jerozolima ma pozostać stolicą Izraela, a wzdłuż rzeki Jordan mają być zlokalizowane osiedla izraelskie. Według planu Husajna Jerozolima ma stanowić stolicę palestyńskiej prowincji jordańskiej.

Na temat planu Husajna wypowiedział się również wicepremier Izraela, Allon, który stwierdził, że „nie ma żadnego powodu, by Izrael sprzeciwiał się planowi federacji między Jordanią a Cisjordanią, przedstawionemu przez króla Husajna. Jednakże Izrael odrzuca całkowicie terytorialne aspekty tego planu".

Niezależnie od publicznych enuncjacji można wnioskować, że podział Jordanii na dwie prowincje nie miałby sensu, gdyby nie był wynikiem tajnych rokowań jordańsko-izraelskich. Tak więc te głosy, które słyszy się w Izraelu, są wyraźnie obliczone na złagodzenie nieprzychylnych reakcji w świecie arabskim.

Czytelnik jest w lepszym położeniu niż piszący te słowa. Z chwilą, gdy „Kamena" ukaże się w druku, czyli za dni dwanaście, będzie znanych wiele nowych faktów. Przede wszystkim powinno się skrystalizować stanowisko państw arabskich, znane będą — przynajmniej w ogólnym zarysie — wyniki rozmów przeprowadzonych przez Husajna z Nixonem. Na razie Amerykanie zachowują wstrzemięźliwość. „International Herald Tribune" pisał: „Obiektywnym przedstawicielom amerykańskim podobnie jak Izraelczykom, zależy na tym, aby odseparować się od planu Husajna. Wazelka bowiem sugestia, iż ma on na sobie stempel amerykański, byłaby czymś w rodzaju pocałunku śmierci. Niemniej Amerykanie są wyraźnie zachęceni perspektywą jakiegoś nowego ruchu w tym skamieniałym do niedawna pod względem dyplomatycznym rejonie. Mimo wykazywania rezerwy, oficjele amerykańscy uważają, że jakakolwiek aktywność dyplomatyczna, jest lepsza od bezruchu". Można te słowa skomentować. Interesy Husajna, który dąży do zachowania i zabezpieczenia swych interesów dynastycznych, są bardzo zbieżne z politycznymi intencjami USA, które chciałyby odzyskać i umocnić swe wpływy na Bliskim Wschodzie. Stworzenie ludności palestyńskiej pozorów niepodległego państwa, zawarcie separatystycznego porozumienia z Izraelem spowodowałoby wyłom we wspólnym froncie państw arabskich. W powszechnym zamęcie Amerykanie łatwiej mogliby upiec własną pieczeń.

Tymczasem na Bliskim Wschodzie trwają intensywne konsultacje. Irak wystąpił z propozycją utworzenia unii z Egiptem i Syrią. Cel — umocnienie zespołu radykalnych państw arabskich.

Leonid Breżniew w swym wystąpieniu na XV Kongresie radzieckich związków zawodowych oświadczył: „Nieustannie umacniają się przyjaźń i współpraca Związku Radzieckiego z postępowymi państwami arabskimi, rozwija się współpraca gospodarcza i obronna i rozszerza się współdziałanie polityczne. Można z pewnym uzasadnieniem stwierdzić, że nasze stosunki z przyjaciółmi arabskimi nigdy nie były tak rozwinięte i wszechstronne jak obecnie. Będziemy także w przyszłości rozwijać i umacniać te stosunki we wzajemnym interesie narodów naszych krajów, w imię sprawiedliwości, w imię wolności, postępu narodów arabskich oraz w imię trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie."

A dziennik „Prawda" komentując politykę zagraniczną Izraela stwierdził, iż „Tel Awiw nie tylko nie zamierza wycofać swych wojsk z okupowanych ziem arabskich od 1967 roku, ale rozważa nawet nowe zdobycze terytorialne". Taka, zdaniem „Prawdy" jest wymowa ostatniej uchwały parlamentu izraelskiego, który w pełni zaaprobował politykę zagraniczną rządu.

„Nie ulega wątpliwości — pisała radziecka gazeta — że ta rezolucja mogła być przyjęta jedynie w atmosferze gorączki wojennej, która charakteryzuje sposób myślenia przywódców Izraela... Upór, z jakim Tel Awiw nie chce wycofać się z okupowanych ziem arabskich, stałe prowokacje zbrojne wobec sąsiadów arabskich, zaogniają napięcie na Bliskim Wschodzie i tworzą niebezpieczeństwo poważnej eksplozji militarnej... Awanturnicza polityka Izraela nie ma nic wspólnego z interesami narodu izraelskiego... W interesie jednych i drugich leży uregulowanie konfliktu izraelsko-arabskiego poprzez wprowadzenie w życie dobrze znanej rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ w sprawie wycofania wojsk z okupowanych ziem".

(j)

„Co zdobyłeś?"

ODNOTOWUJEMY interesujący artykuł, który ukazał się na łamach organu KC Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej „Nepszabadsag". Tytuł artykułu: „Co zdobyłeś?".

„Można się tylko cieszyć — pisze m. in. dziennik — że i u nas również coraz większą liczbę osób stać na samochód czy weekendowy domek. Obie bowiem te rzeczy należą do zdobyczy naszego wieku i służą wygodzie ludzi. Żyjemy w takim wieku, w którym w ciągu jednego pokolenia uczyniono więcej dla wygody i komfortu niż przedtem przez całe tysiąclecia. Dlaczego więc nie korzystać z tych możliwości?"

„Kłopot polega na tym — czytamy dalej — że u nas jeszcze większość ludzi nie może sobie pozwolić na samochód i domek. Przeważająca większość ludzi pracy zbiera bowiem na mieszkanie, na meble, na telewizor, zaś dla wielu nawet te rzeczy są jeszcze marzeniem. Nie można więc dziwić się, że większość krytycznie obserwuje bogacenie się osób, szczególnie jeśli źródłem ich dobrobytu są nieuczciwe działania".

„Jeszcze większym problemem — kontynuuje dziennik — jest to, że spokojnie obserwujemy, jak wzrastające możliwości materialne deformują psychikę wielu ludzi, a wśród nich i takich, którzy niegdyś znajdowali się w czołówce walczących o realizację naszych wspólnych wielkich przedsięwzięć. Rzecz nie w samochodzie lub w willi nad Balatonem. Smutne natomiast to, że właściciel samochodu lub willi już nie jest tym samym człowiekiem, gotowym do walki dla dobra wszystkich, nie jest tym, który niegdyś nawet łopatą pracował dla dobra całego kraju... Oczywiście temu, kto daje więcej, więcej się należy. Ale również jest prawdą, że ten, kto więcej otrzymuje, powinien więcej dać z siebie. Samochód i domek nie powinny nikogo oderwać od naszych wspólnych trosk".

„Jest rzeczą godną potępienia, że za pytaniem: „Co zdobyłeś?" kryje się nieraz przekonanie, iż ten, kto posiada więcej, jest lepszy i zdolniejszy od innych. Taka „rywalizacja" szerzy się na dobre: jeśli mój sąsiad ma „Żiguli", to ja chcę mieć samochód zachodni... Widząc tę nieokiełznaną chęć do posiadania u pewnych osób, można zadać pytanie: co wobec tego należy się tym — i takich jest na szczęście dużo, zarówno w „ministerialnych ławach" jak i wśród robotników — którzy pracują dniem i nocą, przejmują się kłopotami innych, a sami nic nie zdobyli?".

Artykułu nie komentujemy, choć nad zacytowanymi słowami warto pomyśleć.

Za Bugiem

HISTORYK lwowski Jarosław Isajewicz znany jest ze swoich publikacji naukowych dotyczących przede wszystkim historii kultury i nauki w okresie renesansu. Interesuje go m.in. historia drukarstwa ukraińskiego na tle ogólnoeuropejskim. Ma też publikacje w czasopismach polskich.

Najnowsza jego książka *) dotyczy życia i działalności Jerzego Kotermaka z Drohobycza, występującego zwykle w spisach z XV wieku jako Georgius de Russia, albo Georgius de Leopoli. Książka ta w serii „Życie ludzi sławnych" ma charakter popularnonaukowy, wiadomości w niej zawarte mają gruntowną podstawę badawczą. Autor wykazał się dobrą znajomością epoki ze szczególnym uwzględnieniem kultury danego okresu.

Życie Jerzego (Jurija) z Drohobycza związane było bardzo ściśle z Krakowem i Uniwersytetem Jagiellońskim, który w wieku XV był „najbliżej Ukrainy", uczyło się w nim wielu Ukraińców. J. Isajewicz przedstawił dokładnie stosunki panujące na Uniwersytecie Krakowskim wśród studentów i uświęcone tradycją zwyczaje. Ukraiński chłopak z Drohobycza bardzo szybko wżywa się w nowy teren i z uporem chłonąc wiedzę zdobywa ówczesne stopnie naukowe: bakalaureat i magisterium (mistrzostwo sztuk wyzwolonych).

W czasie nauki w Krakowie miał takich kolegów, jak Wojciech z Brudzewa, Mikołaj Wodka z Kwidzynia, Wojciech z Pniew czy Stanisław Selig. Spotykał się tu z humanistą włoskim osiadłym w Polsce, historykiem i pisarzem politycznym Filipem Kallimachem. Był Georgius de Russia świadkiem malowania Kaplicy św. Trójcy na Wawelu przez mistrzów zachodnioruskich (ukraińskich). Biograf pisze, że gdy „malowanie już było skończone, Jurij pomógł malarzom ułożyć napis, który jeden z chłopców wymalował na ścianie kaplicy w ówczesnym języku ukraińsko-cerkiewnosłowiańskim. Wspomina się tu przy okazji Lublin. Jeden z malarzy mówi do magistra Jerzego: „A gdy będziesz kiedyś w Lublinie, zajdź do kaplicy na zamku i zobacz, jak ozdobili ją nasi Wołyniacy — mistrz Andruś z uczniami".

Po kilku latach pobytu w Krakowie wyrusza Georgius do Włoch, żeby poszerzyć swą wiedzę w najsłynniejszym w owym czasie Uniwersytecie Bolońskim. Drohobyczanin bardzo szybko się tu aklimatyzuje, zdobywa doktorat z medycyny, po pewnym czasie przez rok pełni nawet funkcję rektora „artystów i medyków" Uniwersytetu Bolońskiego.

W roku 1483 drukuje swą książkę w Rzymie w drukarni Eucheriusza Silbera, której tytuł brzmiał „Judicium prenosticon anni 1483 magistri Georgii Drohobicz de Russia almi studii Bononiensis artium et medicinae doctoris". Tej książce poświęca J. Isajewicz cały rozdział, uważa ją bowiem za chronologicznie pierwszą wydrukowaną przez „autora z Ukrainy". W Polskim Słowniku Bibliograficznym (t. XI, zesz. 49, Wrocław 1965), gdzie jest hasło „Jerzy z Drohobycza", na s. 188 tak się o tym fakcie pisze: „Judicium 1483" ze względu na osobę autora zawarte w nim szczegóły dotyczące geografii Rusi wzbudził żywe zainteresowanie historiografii ukraińskiej i rosyjskiej, która uważa Jerzego za pierwszego autora książki drukowanej, pochodzącego z terenów Rusi Halickiej". Rzecz traktuje o astrologii, naukach pokrewnych i pomocniczych. Tylko dwa egzemplarze tej książki znane są nauce dotychczas. Jeden inkunabuł znajduje się w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie, drugi zaś — w Bibliotece Stuttgarckiej.

Ostatnie lata swojego życia Jerzy z Drohobycza przebywa w Krakowie. Jako wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego wykłada w Collegium Maius. W tym też czasie pisze swój traktat w sześciu rozdziałach o zaćmieniu słońca. Zdobywa tu zaszczytny tytuł lekarza królewskiego, brał bowiem udział w leczeniu króla Kazimierza. Przyjaźni się z Wojciechem Brudzewskim, astrologiem Bernardem Krakowczykiem i Hanuszem Glogerem. Konrad Celtis zakłada wtedy w Krakowie „pierwsze literackie towarzystwo w Europie Środkowej" pod nazwą „Sodalitas Vistulana", z którym związany był również Jerzy z Drohobycza, układający nie najgorsze wiersze po łacinie, jak to wtedy było w modzie.

I jeszcze jeden ciekawy fakt. 18-letni Mikołaj Kopernik przybywa jesienią 1491 roku z Włocławka do Krakowa i przywozi dla Jurija Drohobyczanina list od jego kolegi z okresu bolońskiego, Mikołaja Wodki-Absteniusa, u którego przez pewien czas sam uczył się astronomii. Rozmawiano o zdrowiu Łukasza Watzenrode, którego Georgius de Russia znał jeszcze z Bolonii, a który był wujem i protektorem Kopernika. Drohobyczanin obiecał Kopernikowi poparcie i pomoc w Uniwersytecie.

Praca I. Isajewicza jest ciekawym studium o życiu jednego z wybitnych Ukraińców XV wieku, który przez całe swe życie był w kontakcie z kulturą i nauką łacińsko-polską, a także z wybitnymi Polakami owego czasu. Książka napisana jest przystępnie, ładnym językiem i z dużą znajomością odległej nam epoki — XV wieku.

M. Ł.

*) J. Isajewicz: „Jurij Drohobycz", Kijów 1972, str. 122.

Król ze Świdnika

Alicja Chwałczyk

OKNA mojego mieszkania wychodzą na pole Króla. Mojego i dziesiątków moich sąsiadów. Pół Świdnika stoi na jego ziemi. Michał Król miał niegdyś dwadzieścia dwa hektary. Jego synowie, Adam i Antoni, nie mają dzisiaj nic. Czterystu tysięcy złotych złożonych w depozycie w ogóle nie biorą w rachubę. Papierki nie stanowią dla nich żadnej wartości, nie pachną gnojem jak ziemia jesienią, nie kłują jak wyschnięte siano, nie można z nich zmajstrować najlichszego ula. A Królom tylko na tym zależy...

Jak wiele innych, tak i drewniana chałupa Króla kilkanaście lat temu stanęła niechcący na drodze ceglanym domom, do których upychano robotników i inżynierów z pobliskiej fabryki.

Za pierwsze wywłaszczone pod miasto tereny patron rodziny, nieżyjący już dziś, legendarny w mieście Michał Król, dostał niewiele ponad trzydzieści tysięcy złotych. Do kułaków podchodzono wówczas bez rękawiczek. Pieniędzy nie wziął. Po kilku latach leżenia w banku powiększyły skarb państwa. Okrojona ziemia starczyła jednak na gospodarowanie. Król psioczył, pomstował, głośno życzył sobie nowych reform. Kupił nawet duże radio, takie na wszystkie zakresy, i nasłuchiwał... Nadal uważany był wokół za bogatego gospodarza.

Jak każdy bogaty, tak i on miał przeciwników. Zagroda otoczona wysokim płotem, zwrócona do młodego, ciekawego miasta zamkniętą ścianą stodoły, do tej pory jest na językach świdniczan. Wielu z nich przeniosło się do bloków zza wykopanych buldożerami opłotków. Płotek dostarczały ludziom kłótnie o ziemię, prowadzone od dawna wewnątrz rodziny, do dziś nie zakończone. Żona Antoniego, biedniaczka, poślubiona zaraz po wojnie wbrew woli rodziców, i ich troje dzieci — zawsze mieszkali oddzielnie. Przez dwadzieścia osiem lat składają sobie wzajem wizyty, ostatnio coraz rzadsze, choć ich najmłodszy syn, Zbigniew, rwie się do gospodarki.

Urodzony na lubelskich Rurach Michał Król, kiedy przyszedł młody i krzepki do Świdnika, nie domyślał się — ani on, ani nikt inny — późniejszej przemysłowej eksplozji na tym terenie. Polska, przed wojną sprowadzająca z zagranicy hacele do podkuwania końskich kopyt, rozpoczęła w Świdniku produkcję śmigłowców. Do miasta napływali dobrzy fachowcy, rodziły się dzieci, trzeba było budować domy, coraz więcej domów. Nowe bloki zajmowały miejsca zagonów i sadów. Pola Króla — dziś pokrytego ulicami Sławińskiego, Świerczewskiego, 1 Maja — zaczynało brakować. W kilka lat po pierwszym wywłaszczeniu przyszło mu więc przeżyć drugie.

W styczniu 1967 roku zabrano pod budowę miasta resztę ziemi, niemal wszystko, co posiadał. Przed miarami geodetów ostał się tylko jeden kawałek — ponad hektar — nie objęty planami budowy. Król umarł w dwa lata później. Trudno dziwić się ludziom, że zanim ksiądz z probostwa w Kazimierzówce podniósł ręce błogosławiąc nieboszczyka — kojarzyli śmierć z wywłaszczeniem. Król, wrosły w ziemię obiema nogami, do końca nie mógł zrozumieć, że pole jego i jego kilkorga dzieci potrzebne jest tysiącom ludzi, że Świdnik-miasto musi rozwijać się, mężnieć. Że rozwój oznacza budowę mieszkań, że budowa musi zajmować ziemię, jego ziemię, bo ta ziemia leży najbliżej, w mieście, choć w papierach s t o i, że on mieszka w Nowym Krępcu. Całe gospodarstwo zapisał testamentem tylko swoim dwóm synom: Antoniemu i Adamowi. W imieniu obu występuje zawsze młodszy, Antoni.

Od stycznia 1967 roku minęło ponad pięć lat. Pięć lat cichego oporu Królów, w miarę upływu czasu coraz bardziej stanowczego — wobec różnych instytucji i urzędów zagrażających ziemi. Prawie czterystu tysiącom złotych złożonym w depozycie na nazwisko ojca grozi to samo, co owym trzydziestu z pierwszego wywłaszczenia. Maluczko, a nie odebrane przejdą na skarb państwa. Królowie nie chcą o nich słyszeć. Dotychczas nie znaleziono argumentów, które by przekonały ich, że muszą pójść na ugodę. Orzą, sieją, zbierają, podatków od czasu wywłaszczenia nie płacą, a będąc przed siedemdziesiątką mają nadzieję, że zła jakoś w końcu unikną.

Pole Królów — każde dziecko w Świdniku zna do niego drogę — leży w kręgu zainteresowań kilkunastu urzędów: różnych wydziałów rad narodowych od szczebla wojewódzkiego w Lublinie do miejskiego w Świdniku; MHD, MZBM, MPGK, Spółdzielni Mieszkaniowej, WSK i MO, Powiatowego Biura Geodezji, ODIM — Południe, WZIM oraz sądów Wojewódzkiego i Powiatowego — gdzie toczy się spór o spadek, bo nie wszyscy z rodziny zmarłego Króla pogodzili się z testamentem.

Korespondencja w sprawie Królów — słowa te brzmią niczym milicyjny kryptonim — wymieniana między tymi urzędami, a zgromadzona w referacie gospodarki komunalnej i mieszkaniowej Prez. MRN w Świdniku, liczy — jak dotąd — 49 stron maszynopisu. Są to przeważnie ponaglenia pisane przez Okręgową Dyrekcję Inwestycji Miejskich — Południe do rad narodowych: powiatowej w Lublinie i miejskiej w Świdniku, domagające się zabrania Królów z państwowej ziemi i domu.

To jednak, co było zrozumiałe dla urzędników, nie przemawiało do dwóch starców żyjących myślą, że umrą tam, gdzie przez kilkadziesiąt lat żyli i orali. Urzędy bombardowały Królów pismami, których oni nie chcieli i nie bardzo mogli czytać, podpisać się, owszem, umieją. Przedstawiciele urzędów mówili o setkach tysięcy złotych ludziom, dla których wysokość zapłaty była bez różnicy: oni nie pieniędzy, tylko ziemi...

Pisma miały treść mniej więcej podobną.

...W dniu 27 listopada 1968 roku przedstawiciele naszej dyrekcji osobiście udali się do ob. Króla celem omówienia spraw związanych z dokonaniem mu wypłaty ustalonego odszkodowania, które wynosi 394.104 zł, lecz ob. Król oświadczył, że pieniędzy nie przyjmie... Odmowa przyjęcia należności nasuwa przypuszczenie, że ob. Król będzie utrudniał opuszczenie dotychczasowego gospodarstwa, w związku z czym należałoby już wcześniej podjąć odpowiednie kroki w kierunku wykwaterowania i umożliwienia dokonania rozbiórki zabudowań w 1969 roku. Podając powyższe pragniemy dodać, że w tej sprawie zwracaliśmy się już do Prez. MRN w Świdniku i nie są nam znane przedsięwzięcia w tym zakresie... Prosimy o przydzielenie mieszkania dla rodziny ob. Króla oraz o wykwaterowanie tejże najdalej w połowie 1969 r.

...W sprawie wykwaterowania ob. Króla ODIM — Południe bezskutecznie występuje do zainteresowanych organów rady narodowej. Prez. PRN w Lublinie wystosowało pismo do przewodniczącego Prez. MRN w Świdniku z poleceniem zabezpieczenia mieszkania dla ob. Króla w I kwartale 1969 roku. Mimo takowej decyzji oraz naszych ponownych interwencji Prezydium w ogóle nie zareagowało na wyżej podane pisma i decyzje, gdyż ob. Król nie został wykwaterowany, a na nasze pisma nie dano żadnej odpowiedzi. Z uwagi na konieczność przygotowania terenu pod budowę ponownie uprzejmie prosimy o pomoc, gdyż dalsze tego rodzaju postępowanie może spowodować zahamowanie budownictwa.

...Dalsza zwłoka w sfinalizowaniu tej sprawy może spowodować, że teren pod zabudowę nie zostanie przygotowany dla wykonawcy w obowiązującym terminie, tj. do 31 grudnia 1971 r., a tym samym spowodować skreślenie inwestycji z planu.

...Podkreślamy z całą mocą, że dalsza zwłoka w tej sprawie stawia pod znakiem zapytania planową realizację obiektów na tym terenie.

...Nie chcąc dopuścić do wstrzymania realizacji w 1972 roku obiektów budowlanych, ODIM — Południe zwraca się z uprzejmą prośbą o spowodowanie usunięcia ob. Króla bezwzględnie do 31 października 1971 roku...

W Świdniku czeka na mieszkania ponad dwa tysiące ludzi. Rocznie spółdzielnia oddaje dwieście mieszkań, a przyjmuje pięciuset nowych członków. Na spotkaniu z wicepremierem Jagielskim przed wyborami do Sejmu mówiono o sprawach różnych — przede wszystkim jednak o niedoinwestowaniu miasta, o dotkliwym braku mieszkań. Na polu Króla i jego sąsiadów stanie jedenaście bloków mieszkalnych, pawilon handlowy i żłobek. Realizacji planów budowlanych przeszkadza nie tylko dom, stodoła i obora. Na skraju pola stoi 38 drewnianych bud, a w nich 38 różnych samochodów. W Świdniku nie tylko mieszkań brakuje. Na 480 zarejestrowanych prywatnych samochodów osobowych jest w mieście ok. 170 garaży. Król zarabia na dzierżawie państwowej ziemi około dwadzieścia tysięcy złotych rocznie. Korespondencja w sprawie bud podobna jest do prowadzonej na temat ziemi. Znowu ODIM — Południe pisze do kierownika Wydziału BUA Prez. PRN w Lublinie:

Polecenia Prez. WRN zobowiązały wszystkich inwestorów do bezwzględnego usunięcia w terminie do 31 grudnia 1971 r. wszelkich zabudowań z terenów przeznaczonych pod realizację budownictwa w planie inwestycyjnym 1972... Garaże uniemożliwiają zagospodarowanie terenu... Zlokalizowane są na projektowanych ciągach sieciowych... Musimy w WZIM przedłożyć dokument wydany przez Prez. PRN, że istniejąca zabudowa zostanie usunięta bezwzględnie do 31 grudnia 1971 r.

Garaże stoją nadal. Działanie rad narodowych jest w obu przypadkach podobne.

Antoni Król przez te pięć lat nieźle się poduczył prawa. Strzela paragrafami, przytacza ustawy, wie, co należy się ludziom uprawiającym ziemię. Ma też wielu doradców. Wszystkie świnie chowane w jego chlewie należą do lokatorów z pobliskich bloków. Eksmisja Króla oznacza dla nich zerwanie ostatniej więzi ze wsią, chudsze święta, chrzty i wesela. Obaj z bratem Adamem nie przyjmują propozycji zamiany gruntów na inne, w Świdniku Dużym, Mełgwi, Łuszczowie czy Tomaszowicach. Są jakby łaskawsi tylko dla nowego przewodniczącego Prez. MRN w Świdniku, Szymona Arasimowicza. On to, jako jeden z nielicznych obcych, został wpuszczony za próg ich domu bez żadnych awantur. Przewodniczący stanowczo za późno objął swoją funkcję...

Dom Królów w pełni potwierdza opowieści krążące o nich w mieście. W nędznej izbie — odpychającej zaniedbaniem, brakiem kobiecej ręki — przyjął mnie 68-letni Adam. Niski, szczupły, leżał na dziecięcym łóżeczku, zamiast kołdry przykryty zieloną pałatką. W izbie nie było ani jednej białej plamy. Brudna szara podłoga, szare ściany, szare kalesony rzucone na poręcz łóżka. Przez cały czas naszej rozmowy właściciel trzymał w ręce długie zębate ostrze. Przy jego nogach wisiały dwie ramowe piły, obok jeszcze jedna — większa, wstęgowa, taka do cięcia dużych pni drzew. Na ławie połyskiwała siekiera, druga leżała w zasięgu ręki. W kącie izby przykryte pokrowcem radio, a obok, na stole, książka w kolorowej okładce: „Pilot alpejskich lodowców" — Geigera — ślady nikłej więzi z ludźmi.

Adam Król był akurat chory. Powtarzał w kółko: Nigdzie się stąd nie rusze. Lekarza mi nie trza. Jeszcze mi życie miłe. Nigdy u lekarza nie byłem i tera też nie pójdę. Nie chcę, żeby mie struł. Da Bóg koniec, to się umrze...

Przerażające słowa w ustach człowieka walczącego o ziemię, upierającego się przy uprawie roli. Podobnie jak o lekarzu, nie chciał słyszeć o zaniechaniu gospodarki. Nie rozumiał jak jego, gospodarza, można namawiać do zamiany pieniędzy z depozytu na comiesięczną rentę.

W mieście mówią, że choroba Adama Króla to skutek nocnych czujek za płotem, czujek przeciwko ludziom z urzędu.

Przez pięć lat, przy odrobinie dobrych chęci, niewidomego można nauczyć czytania. Przez ten czas Królów nie nauczono rozumienia podstawowych prawd. Zajmowali się nimi wszyscy i nikt. Dopiero ostatnio znaleziono możliwość kupienia gruntów i zabudowań przy tamtym, półtorahektarowym, niewywłaszczonym kawałku. Przeniesienie na tamten teren — nieodwracalny, konieczny etap w pochodzie urbanizacji — musi być przeprowadzone z wielką ostrożnością i kulturą. Wszak o ludzi tu chodzi, o ludzi mocno zrośniętych z ziemią, którzy kilkadziesiąt lat temu opuścili przedmieście dużego miasta, mając nadzieję, że żadne inne miasto więcej ich nie dosięgnie.

Kiedy patrzę na zagrodę Królów i słucham opowieści urzędników szczutych psami i przeganianych przez Adama chodzącego z nieodłączną siekierą w ręce, zastanawiam się, co zrobiło dla ludzi takich, jak on, mające szerzyć oświatę Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, co zrobił Związek Młodzieży Wiejskiej? Co przez 28 lat istnienia Polski Ludowej zrobiło całe społeczeństwo, my wszyscy? Jak dramat Królów, wynikający z patologicznego przywiązania do ziemi, ale nie taki znowu odosobniony, wygląda na tle sprawozdań o podnoszeniu poziomu kultury w miastach i we wsiach?

W 15-lecie śmierci

Juliusz Kleiner

Fot. CAF

JULIUSZ Kleiner zmarł 23 III 1957 roku, i właśnie minęło 15 lat od chwili jego śmierci. Był to uczony-polonista, a raczej uczony-humanista wielkiej miary, zarówno w sensie wartości studiów i prac, jakie poświęcił polskiej literaturze, jak i w sensie ilości dokonań badawczych. W krótkiej notatce wspomnieniowej nie sposób omówić rozwoju postawy naukowej Kleinera, ani nawet nie sposób bliżej przyjrzeć się jego koncepcjom jako historyka literatury, metodologa i teoretyka literatury, neofilologa i komparatysty, a wreszcie przecież pedagoga, dydaktyka i krasomówcy. Do dziś żywymi pozycjami są jego monografie o Mickiewiczu i Słowackim, jego edycja dzieł wszystkich Słowackiego, jego liczne książki i artykuły... Słowa te brzmią może jako okazjonalny banał, lecz taka jest prawda o dorobku Kleinera, mimo że część owego dorobku musiała ulec weryfikacji w świetle najnowszych odkryć historii i metodologii literatury.

Urodził się 24 IV 1886 roku we Lwowie, gdzie spędził, niemal bez przerwy, blisko 60 lat — jako nauczyciel gimnazjalny, a przede wszystkim jako pracownik naukowy Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, organizator życia literackiego i naukowego. Pozostał na uniwersytecie lwowskim po wybuchu wojny w 1939 roku, kiedy za zezwoleniem władz radzieckich toczyły się tam normalne prace badawcze i dydaktyczne. Kleiner objął wówczas, już jako profesor, kierownictwo katedry literatury polskiej. W lipcu 1944 roku do Lwowa wkroczyły wojska niemieckie. Uniwersytet został zamknięty, rozpoczęła się pacyfikacja polskiej inteligencji.

Z tego tragicznego okresu tak wspomina Kleinera Mieczysław Jastrun:

Pewnego idealnie pogodnego poranka ujrzałem z mego okna, w uliczce prowadzącej do parku, profesora Kleinera, przechadzającego się spokojnie w towarzystwie syna. Jeśli zważyć, że profesor był osobą powszechnie znaną we Lwowie i że żydowskie pochodzenie tego znakomitego Polaka i wierzącego katolika nie mogło być dla mieszkańców miasta tajemnicą, przeciwnie, dla niektórych mogło być całą dostępną im wiedzą o tym starszym panu z jasnym, sarmackim wąsem, gdy drobił swymi kroczkami, było to niewątpliwie ryzyko, wyzwanie rzucone losowi... I jeśli dziś myślę o profesorze Kleinerze, to nie myślę o nim jako wielkim uczonym i fanatycznym miłośniku wszystkiego, co w życiu polskim było najpiękniejsze i najszlachetniejsze, ani nie myślę o nim z lat niedawnych, gdy spotykaliśmy się nieraz na sesjach Komitetu Redakcyjnego Narodowego Wydania Dzieł Mickiewicza, choć nieraz tu mogłem podziwiać jego wiedzę i myśl niezależną, ale przypominam te jego spacery z synem w mieście grozy i utrapienia. („Nowiny Literackie i Wydawnicze" 1957, nr 6).

Istnieje przecież w życiu Kleinera okres lubelski, wcale niebłahy. Wojna rzuciła go do Krasnobrodu w powiecie zamojskim. Ukrywając się przed gestapo, przybrał wówczas pseudonim — Jan Zalutyński. Podczas okupacji zmieniał miejsca pobytu na Lubelszczyźnie, a po wyzwoleniu, 7 IX 1944 roku, przybył do Lublina, odnaleziony i sprowadzony przez Wincentego Rzymowskiego, kierownika Resortu Kultury i Sztuki.

Śmiało można powiedzieć, iż Kleiner był jednym z pierwszych organizatorów życia literackiego na Lubelszczyźnie. Już w połowie 1945 roku został obrany prezesem Lubelskiego Oddziału ZLP. Funkcję tę sprawował aż do momentu swego wyjazdu z Lublina wiosną 1949 roku, kiedy to prezesurę Oddziału przejęła Maria Bechczyc-Rudnicka, która tak wspomina Kleinera z tamtego okresu: *Miałam sposobność z bliska obserwować, z jaką zdumiewającą umiejętnością gospodarował nasz prezes, profesor Kleiner, swoim czasem, który musiał dzielić między KUL, Związek i fundamentalne monografie. A nigdy czasu nie skąpił dla sprawy wymagającej jego udziału. Nie zdarzyło mi się ani razu dostrzec w jego zachowaniu najmniejszej bodaj oznaki zniecierpliwienia, choć, prawdę powiedziawszy, nachodziłam profesora nieomal codziennie, tak się bowiem jakoś złożyło, że trudno było obejść się bez jego wskazówek.* („Kamena" 1957, nr 6/7).

Z Lublina wyjechał Kleiner do Krakowa — na Uniwersytet Jagielloński. W roku 1954 w „Kamenie" (nr 1/3) wspominał okres lubelski:

Nie znałem Lublina w czasach przedwojennych; w przejazdach do Warszawy oglądałem go tylko pobieżnie. Teraz pokochałem to miasto, które mi dało nową epokę życia, które stało się dla mnie, pomimo żem do sześćdziesiątki się zbliżał, miastem drugiej mej młodości. Przyczyniła się do tego serdeczność, z jaką się spotkałem — wśród kolegów uniwersyteckich, w gronie Towarzystwa Naukowego, które mi powierzyło przewodnictwo Wydziału, wśród młodzieży studenckiej zapału pełnej, wśród kolegów literatów, którzy mię prezesurą Oddziału Lubelskiego obdarzyli. I rzecz znamienna: nie zmąciło mi obrazu tych czasów złamanie nogi powodujące pięć miesięcy uwięzienia w pokoju szpitalnym. Nie przerwało kontaktu z pulsującym życiem kulturalnym. Wracam myślą w te czasy powrotu do pracy — jako w czasy powtórnej młodości.

(p)

Kręgu „Orientacji"

RUCH młodoliteracki „Orientacja Poetycka Hybrydy" (termin ukuty przez Janusza Żernickiego) zrodził się w latach sześćdziesiątych. Powstanie „Orientacji" nie było przypadkowe, co jest szczególnie widoczne na tle sytuacji, w jakiej wówczas znalazło się poprzednie pokolenie — zgrupowane wokół „Współczesności" — tzw. pokolenie 56, powołane ongiś przez odnowę polityczną i społeczną.

Parę słów o sytuacji startowej pokolenia „Współczesności". Ich poezja i postawa wyrosły w proteście wobec zafałszowanych uczuć i spojrzeń. Zaistniała sprzyjająca koniunktura dla poszukiwań i negacji. Protest liczył się najwięcej. Najłatwiej go było zdyskontować. Powołane przez Szymańskiego pismo „Współczesność" stało się zrazu terenem swego rodzaju programowych ekstrawagancji. Wieczory tego pokolenia, organizowane w warszawskich kawiarniach („Pod kamiennymi schodkami", potem w „Krokodylu"), przypominały skandale futurystów, i nie zawsze wiele miały wspólnego z samą poezją. Aczkolwiek — bądźmy sprawiedliwi — ta poezja „wyzwolonych uczuć" była wówczas śmiałym i nowym materiałem do dyskusji.

Powstanie i działalność „Orientacji Poetyckiej Hybrydy" przypada na inne zgoła warunki społeczno-polityczne. Rok 1960 przecież to początek tzw. małej stabilizacji. W latach sześćdziesiątych mija też okres dynamicznego działania generacji „Współczesności", mija zarazem mit jej poezji, ruch ten jako pewna całość zamarł, pozostały indywidualne dokonania, zostały nieliczne nazwiska. Nadszedł czas pokoleniowej „zmiany warty", dokonującej się wszak w innej sytuacji niż poprzednio.

Pokolenie „Orientacji" nigdy nie ogłosiło wspólnego programu ani manifestu. Nie startowało też z własnym pismem. Rozpoczęto od zwykłych spotkań autorskich, jednak o znamiennym tytule: „Pokolenie, które wstępuje". Potem działalność rozszerzono o nowe spotkania: „Ludzie sztuki o sobie" i „Geniusze poezji — ich sztuka i idee". Cykl pierwszy był dialogiem z poetami tej miary, co Przyboś, Jastrun, Broniewski, Stern, Brzękowski, z krytykami — Sandauerem, Peiperem, Rogozińskim, prozaikami — Parandowskim, Rudnickim, Andrzejewskim; drugi — miał ukazać drogę i doświadczenia poetów, których twórczość zaważyła na poezji polskiej i światowej, a więc Baudelaire'a, Błoka, Jasieńskiego, Borowskiego, Baczyńskiego. Uzupełnieniem niejako były „Tygodnie Poetyckie Stolicy" (pierwszy już w maju 1960 roku), podczas których prezentowano najprzeróżniejsze tendencje poetyckie, aby w ten sposób ukazać związek własny z tradycją, wybrać z niej to, co najwartościowsze i aktualne. Wreszcie — przystąpiono do organizacji sympozjonów, na które zapraszano poetów z całej Polski. Sympozjony te odegrały niewątpliwie istotną rolę w kształtowaniu postaw ideowych i artystycznych nas wszystkich. Ale najbardziej liczyła się własna poezja i tylko ona miała być ostatecznym miernikiem nowej generacji.

Potrzebne było pismo, aby móc na gorąco prezentować własne wiersze. Chodziło o szerszą konfrontację i po prostu o zwykły druk. W okresie 1962—63 wydano zaledwie 3 numery almanachu „Widzenia". Numer trzeci był najpełniejszym zestawem nazwisk „Orientacji": Bordowicz, Żernicki, Gąsiorowski, Jerzyna, Markiewicz, Zaniewski, Sadowska, Stachura. Pisali w nim krytycy: Sławiński i Kuncewicz. Ten ostatni, wydawało się, zostanie krytykiem całego ugrupowania. W swoim znamiennym artykule „Kierunek pokolenia" pisał między innymi: *Jedno jest im wspólne: ich poezja ma zerwać definitywnie ze „splendid isolation", z odżegnywaniem się od ludzkiego materialnego i historycznego losu. Przeciwnie — ich twórczość ma być zbrojnym ramieniem, jeszcze jednym zbrojnym ramieniem człowieka i jego świadomego losu. Ale droga, którą dochodzą aż do tego miejsca, nie jest wcale prosta.*

Po latach, w trzecim roczniku „Orientacji" — „Za progiem wyboru", Krzysztof Gąsiorowski niejako potwierdzi i rozszerzy przewidywania Kuncewicza. Napisze: *I oto właśnie proszę zechcieć zauważyć, że w momencie startu „Orientacja Poetycka Hybrydy" znalazła się w sytuacji zasadniczo różnej niż większość generacji literackich naszego kraju, a już drastycznie odmiennej od sytuacji startu swoich bezpośrednich poprzedników. Że należy ona do pierwszego, już chociażby tylko po ostatniej wojnie pierwszego, zespołu pisarzy, którzy nie czują potrzeby żadnych totalnych a naglących „rozrachunków z przeszłością" — tego leitmotivu wszelkich cywilnych i wojskowych kombatantów — i już przez to wyłamuje się poza nawykowo przyjęte kryteria powinności literackich, czy metaliterackich, spełniających się na tle doraźnego i jednokierunkowego zapotrzebowania politycznego i społecznego.*

Zarzucano „Orientacji" — już w momencie je powstania — „nadmiar wyobraźni", czyli jakby niespójność między treścią a formą tej poezji. Najmłodsze natomiast pokolenie poetów i krytyków (np. Styczeń, Zagajewski) zarzuca nam... podejmowanie tematyki moralnej, rozliczanie się ze światem w sposób ciągle sięgający do doświadczeń historii, z pominięciem jakoby głównego celu poezji, tj. odbicia świata.

Zadaniem poezji wszelako nie jest odbicie świata, lecz propozycja jego przekształcenia, a droga do tego to najgłębiej i najszerzej pojmowana wyobraźnia, czyli wrażliwość na wszystkie przejawy otaczającej nas rzeczywistości, użyta do tworzenia nowych propozycji artystycznych i moralnych.

W ten sposób krytyka, chcąc nie chcąc, stwierdza zarówno odrębność poetyki „Orientacji", jak i jej wciąż nowe oddziaływanie. Nie dostrzega natomiast różnicowania się postaw w obrębie pokolenia „Hybryd". Trzeba tu wszak oddać sprawiedliwość Ryszardowi Krynickiemu, który w publikacji „Za progiem wyboru" pisał między innymi: *„Z twórczości poetów „Orientacji" wyłoniły się dwa diametralnie różne modele teoretyczne: Żernickiego hipoteza „poezji wzoru" i Gąsiorowskiego koncepcja doświadczenia jednostkowego, indywidualnego. I jedna i druga sugestia znajduje swoje uzasadnienie w ptychologii. Koncepcja Żernickiego nawiązuje do odwiecznego pragnienia poezji gnomicznej: zbudowania wiersza uniwersalnego, jego wiersz-wzór „Tłumaczona na Norwida" nawiązuje do poetyki tego rodzaju definicji poetyckiej, jaka występuje w „Czułości" Norwida.* Krynicki dodaje: *Specyfika poezji „Orientacji" przejawia się nie tylko w propozycjach, również i w rezygnacjach. W unikaniu w wierszu wyklętych słów i kryjących się za nimi problemów. Powoduje to w następstwie kodyfikację języka i symbolики, tęsknota do pięknego mówienia idzie tu w parze z ubogą listą frekwentacyjną języka symbolicznego. Jest to główne niebezpieczeństwo grożące poetom „Orientacji"; skazując się na słowa i problemy „wybrane", skazują się tym samym na podejrzenia o klasycystyczne pojmowanie poezji. Innym niebezpieczeństwem jest synkretyzm naśladowców neutralizujących i unieważniających pytania stawiane przez poetów „Orientacji". Naśladowcy „Orientacji" wytworzyli specyficzny „styl konkursowy.*

Warto jeszcze zwrócić uwagę, że niejako przedłużeniem ruchu „Orientacji" było wydawane od 1965 roku pismo o tym samym tytule. Tytuł — „Orientacja" — nie był przypadkowy (choć współpracowało z pismem także nowe pokolenie poetów będących nawet, jak w przypadku Barańczaka, często w opozycji). Myślę tutaj przede wszystkim o pierwszym okresie pisma, współredagowanego wówczas przeze mnie z Gąsiorowskim. Drugi rzut „Orientacji", od szóstego numeru począwszy, redagowany przy współudziale Burka, Karaska oraz Waśkiewicza, ukazał możliwie szerokie tendencje młodej poezji polskiej ostatnich lat.

Należy tylko żałować, że pismo „Orientacja", które, jak nigdy dotąd, mogło stać się ważnym, być może jedynym tego typu dokumentem aktualnych myśli poetyckiego pokolenia — po prostu przestało wychodzić. Wieloletni i życzliwy mecenas oraz inspirator pisma i ruchu — Zrzeszenie Studentów Polskich — odstąpił od pierwotnych koncepcji. Zresztą nie tylko on. Nie będzie więc powrotów ani do ugrupowania „Orientacja", ani do pisma „Orientacja". Był to po prostu okres narodzin nowego pokolenia w poezji polskiej. Każdy z nas teraz pracuje już na własne nazwisko.

W tym kontekście zorganizowany w Warszawie VI „Dzień Poezji" (w grudniu 1971 roku) można uznać jako „oficjalne" zakończenie generacyjnych dziejów „Orientacji Poetyckiej Hybrydy". W najmłodszych poetach mamy już swoją opozycję, czy wszelako jest to opozycja nowego pokolenia, odpowie czas.

Jerzy Leszin-Koperski

Janusz Żernicki

Pogrzeb poety

... i ponieśli obcy mężczyźni
na obcy cmentarz na wzgórzu obcym.
– – – – – – – – – –
Bażantów stado wyfrunęło
z wypalonych traw.
– – – – – – – – – –
Na widnokręgu roztargnionej krzywiźnie
widok obiecany.
gdzie:
„Ziemia nieść mnie będzie
w wieczność koło słońca"
...i konsekwencje litanijne
przez brata naszego wiatr –

– w domach gdzie nim zasną
lustra otwierają na oścież
i jak ziarno sypią resztki monet
na chleb jutrzejszy, mleko, masło;

– w domach, gdzie spieniona pościel
ciał zmęczonych nie kryje,
i wietrzą nozdrza przerażone
ostry zapach morza,
które nawiedziło ich na chwilę;

– w domach, gdzie nad ranem
w zatrzaśniętych znajdują lustrach
twarz własną,
włosy siwiejące i zawsze te same
monety wczoraj rozdzielone skrzętnie
na chleb powszedni,
mleko,
masło...
– – – – – – – – – –
Za horyzontem zniknęło stado bażantów.
Słychać klakson.
Ostatni autobus odjeżdża z przystanku.

Mieczysław Czychowski

Kołysanka

Karpi czarne grzbiety chodzą –
chłodzą wodę, oczy chłodzą.

Woda martwo w dłoniach stoi
rży w ciemnościach biały konik.

Chłopiec z uzdą konia szuka
ojciec syna, matka wnuka.

Pogubili się nawzajem
księżyc poszedł lasu skrajem.

Skrzypce ciętą świecą ranną
struną moją rozerwaną.

Przeziera z nich czeluść ziemi –
pod powieką, gdzie najciemniej.

Już ich nie dręcz nie otwieraj
to co żywe w nich – pozbieraj.

Pustka śpiewa, gada drzewo
w progach Pana Przedwiecznego.

Białostockie dąsy plastyczne

Ireneusz J. Kamiński

WSZYSTKO po staremu — można powiedzieć po zapoznaniu się z treścią dyskusji o plastyce białostockiej.[1]) Od lat bowiem wiadomo, że członkowie Związku Polskich Artystów Plastyków upodobali sobie w dyskusjach tematy organizacyjno-materialne, ze znacznie mniejszym zapałem oddając się rozważaniom o sztuce samej.

Wszystko po staremu, to prawda, ale może istotnie trzeba ciągle ujawniać i akcentować te same problemy organizacyjno-bytowe plastyków, albowiem ich rozwikłanie jest konieczne dla dalszego rozwoju naszej sztuki, sztuki w Białymstoku w szczególności? W mieście, dodajmy, liczącym 170 tysięcy mieszkańców, posiadającym trzy wyższe uczelnie, teatr dramatyczny, orkiestrę symfoniczną i szczególnie liczne i wyróżniające się środowisko plastyczne, które od kilku lat z malejącą cierpliwością czeka na otwarcie pawilonu wystawowego.

Plastycy białostoccy są zdania, że warunki wystawiennicze w tym mieście są katastrofalne, ekspozycje organizuje się w pomieszczeniach przypadkowych, lokal związkowy przy Rynku Kościuszki tylko na zasadzie dowcipu można nazwać „salonem", a rekonstrucja zabytkowego arsenału pałacu Branickich, w którym przewidziano obszerne pomieszczenia na wystawy czasowe i galerię białowieskich prac poplenerowych, trwa stanowczo zbyt długo.

Sporo w tym racji, która ujawnia się szczególnie ostro w momencie wskazania na sprawę rekonstrukcji arsenału, mieszcząca się w ociężałej gestii Pracowni Konserwacji Zabytków, które dopiero po trzykrotnej zmianie dokumentacji zdecydowały się na konkretną robotę. PKZ zawsze i wszędzie nie wywiązywały się z ustalonych terminów, tłumacząc się brakiem mocy przerobowej i chyba nawet Pismem Świętym, gdzie czytamy przecież wyraźnie, że „Błogosławiony mąż, który się nie potknął w słowie ust swoich i nie jest trapion frasunkiem grzechu". Ale grzechem jest usprawiedliwianie braku wystaw okręgowych w Białymstoku (dwa ostatnie lata) brakiem odpowiedniego lokalu ekspozycyjnego. W przeszłości prezentacje okręgowe, będące przeglądem potencjału twórczego środowiska, były organizowane w salach Muzeum, klubu MPiK i w siedzibie WKZZ. O ile wiadomo, instytucje te i organizacje w dalszym ciągu chętnie służą plastykom swoimi salami, które nie są tak podłe pod względem warunków wystawienniczych, żeby z nich nie skorzystać. Tym bardziej, jeśli się nie posiada własnego pawilonu, a posiada się ambicje działalności społecznej. Nie ulega wątpliwości, że Białystok winien otrzymać sale wystawową z prawdziwego zdarzenia, jak i nie ulega wątpliwości fakt jednostronnej interpretacji rzeczywistości przez niektórych działaczy białostockiego ZPAP.

Wiesław Jurkowski: „Kompozycja z trzema głowami", 1971.

Fot. Z. Kadziewicz

Warto w tym miejscu przypomnieć o słynnej w kraju inicjatywie, ale prywatnej inicjatywie, trzech malarzy białostockich, którzy otworzyli własną galerię sztuki „Brama". Finansowali ją z własnej kieszeni, sprowadzali wystawy najwybitniejszych artystów polskich, tych z awangardy także. Stworzyli zaczyn miejsca, stałego miejsca, informacji o najbardziej aktualnych i dojrzałych tendencjach malarstwa polskiego, a tym samym pierwszy etap autentycznego ruchu artystycznego w Białymstoku, zainicjowany I Plenerem Białowieskim, otrzymał rzetelne wsparcie i przedłużenie w całorocznej działalności małej, lecz szalenie interesującej placówki. Kiedy zaś przekazali dzieło swoje pod opiekę Zarządu Okręgu ZPAP, dzieło rozpadło się dokumentnie, choć po cichu: żaden z uczestników wiadomych dyskusji nie potrącił nawet mimochodem o sprawę galerii „Brama".

Znamienne: że białostockie środowisko plastyczne jest takie, a nie inne, że artyści są zniechęceni społeczną obojętnością, że zakupy prac odbiegała swoim zakresem od oczekiwań środowiska, że pracowni jest za mało — za wszystko zło towarzyszące twórczości członków Związku odpowiedzialni są wszyscy, tylko nie Zarząd ZPAP. Z wypowiedzi niektórych dyskutantów łatwo wyprowadzić wniosek, że jedynym sprawiedliwym w Białymstoku jest bez wątpienia ZPAP. Natomiast Wydział Kultury Prezydium WRN, BWA, PSP i Muzeum Okręgowe — „instytucje te opacznie pojmują swoją rolę".

Zrozumiałe, że Związek nie jest w stanie zabezpieczyć dorobku plenerów białowieskich, który przechowywany jest w ciasnych magazynach BWA, dobrze, że Związek publicznie akcentuje ten problem. Obrazy poplenerowe przedstawiają pokaźny majątek artystyczny i materialny, trudno zatem dziwić się irytacji spowodowanej warunkami ich przechowywania. W tej kwestii władze białostockie powinny energicznie i tam gdzie trzeba interweniować.

Zrozumieć nawet można narzekania na niewystarczającą liczbę pracowni, oddanych do dyspozycji plastyków, aczkolwiek w skali krajowej okręg białostocki — ponad 40 proc. członków ZPAP ma pracownie — przedstawia się całkiem przyzwoicie. Publiczne narzekanie może bowiem odsłonić nowe drogi prowadzące do sytuacji lepszej czy idealnej, a więc takiej, w której każdy twórca posiadać będzie kompletny warsztat pracy. Wiadomo, że niektóre spółdzielnie mieszkaniowe traktują plastyków jak intruzów, a w budownictwie komunalnym, w całym kraju, praktycznie wstrzymano lokowanie pracowni artystycznych — wbrew obowiązującym zaleceniom resortów.

Krytyka PSP przez Lidię Olszewską również zyskuje sympatię, albowiem po latach istnienia tego przedsiębiorstwa okazuje się ono tworem trochę nie dopasowanym do rzeczywistości oraz do oczekiwań zarówno plastyków, jak i rozlicznych zleceniodawców. Źródłem zła jest monopolistyczny charakter PSP, wszystkie zatem reformy muszą mieć zakres generalny, ogólnokrajowy, bo fakt, że pan Edzio dostaje lepsze chałtury od panny Emilii, nie ma poważniejszego znaczenia dla działania mechanizmów naszego rynku plastycznego, którego dyktatorem jest właśnie PSP. Ponarzekać przecież warto, bo z takich wieloletnich dąsów rodzi się właśnie koncepcja powołania przez ZPAP wyspecjalizowanych agend usługowych, może o profilu spółdzielczym, zajmujących się organizacją owego rynku... Tak.

Kamena str. 4

Krzysztof Gąsiorowski

Na ciężkim skrzydle...

Na ciężkim skrzydle księżyca,
Ciężkim skrzydle snu
Unosi się nad nami paw nocy
i krzyczy.
Jego wrzask zaprząta nas jak umieranie
Tylko zaczyna się.
Cokolwiek się stanie, jest początkiem,
Ciągle początkiem.
I nikim więcej.
Zajmij się końcem świata,
Którym **jesteś**.
Sam na sam z sobą jak wobec żywiołu.
Powietrze w i d z i s z.
To wielkie milczenie głęboko w nas
rozkorzenione.

Przejrzyj się w ścianie,
Przejrzyj się w podłodze.
W stole, tapczanie, regale z książkami;
Przejrzyj się w drzewach,
Które o świtaniu w ostrych profilach
Przechowują noc.
O drzewo — niskie ścieżki do gwiazd,
Dłonie są gwiazdą ledwie zabliźnioną.
Jedyne czółno naszych warg
na niewidzialnej rzece
Pocałunku
Właśnie odpływa.
Nikogo nie ma, kto przyzna się do nas.
Nikt za nas tego uczynić nie może.
Cokolwiek się wydarzy, jest początkiem,
Ciągle początkiem.
I nikim więcej.

Jarosław Markiewicz

Zachęcający śpiew kraba

Owady żyją dłużej. Są do siebie podobne.
Wychodzą z ziemi. Odchodzą w nieznane.
A ty tyle już wiesz. Wiesz, jak to wygląda.
Prawdopodobnie ból. Prawdopodobnie ciemność.
Te rozsypane czcionki wielkiego traktatu
o naturze wszechrzeczy, o stałości zmiennych
wejdą w ciebie niebawem, nasycą się tobą,
choćby tam nie wiem co, choćby cię
przekupnie relikwii roznieśli po miastach.
Może warto poszukać tajnego przejścia.
Może tam się odnajdzie i brat twój i siostra.
Litera nabierze kształtu,
język nie wyda się śmieszny.
Przestaną cię dręczyć, przestaną zgadywać,
kim jesteś, po co przyszedłeś i dokąd.

Andrzej K. Waśkiewicz

pisane nocą

noc obnażona jawna noć o mrok
biją kopyta koni — głos wybiegły z nocy
wąska granica jawy
jedyna pewność: ta piękna możliwość
że jestem z nią tożsamy — nic nie jest zewnętrzne
nic nie jest poza nocą — jedynie granica
— moja i nocy — na której się dzieje
projekt rzeczywistości
w granicach doświadczenia jest ciemność tej nocy
zbiegły z niej głos: na wąskiej granicy jawy
uskrzydlona realność: szkic porozumienia
oto się stałem oto znowu jestem

Jerzy Leszin-Koperski

* * *

tych omijanych dzisiaj miejsc
wolnoż to zapominać albo li tylko upadać
i zamilczeć jakby tłumu było to rozkrwawienie a nie ich
i znowu pomniejszyła się odległość
a mogłyby tutaj jeszcze długo przybywać ptaki
i choć przybędą — inną i trwalszą będą zapamiętywać śmierć
Tak zawsze jest i jest to największe umarcie
Dla nas co jesteśmy? Dla was co będziecie? Dla krwi
zwykłej a przecież innej w kolor i w ból czerwieńszej
dla jakiej wielkości, z pogardy jakiej
— koniecznej czy dlatego że bogu zabrakło litości
i takiej zapragnął daniny? Jeszcze powróci sąd nad wami
coście bezprawnie sądzić zapragnęli
i którzy sąd powołując grobu własnego mieć nie winniście
ani sądu bożego ani ludu ani n a j w i e r n i e j s z y c h k ł a m c ó w

Maciej Z. Bordowicz

Zapis z prób „Kordiana"

... powstaje zatem, z książką zamiast twarzy
(można mu skronie zwilżonym palcem, jak kartki przekładać)
śmierci żąda, od początku śmierci —
któż by się o co inne
żądać lub prosić odważył?...
Więc, w trawy lat swych kilkunastu szybuje bezpiecznie
i bezpiecznie spada,
więc, w koronkach dłońmi
ramy przyszłe obmyśla i z uporem kleci!
Jest u nas w poezjach postać znakomita,
co przez wersety idzie
jak spojrzenie długie, rzucone po zbożach —
żyły prześwitują mu przez ciało kuse
i możesz tutaj
mapę Europy widzieć,
i z biegu żył tych możesz nurty rzek odczytać;
geografii lekcję wpisaną masz tu w mięśnie
za pomocą noża.
I masz głos ten jeszcze
jak syponia kopców — — —
Młody, co się nie zabił choć śmierci przymierza
u stóp tego głosu przycupnie senny przecie
od ćwiczeń o istnieniu,
a wtedy mu miary od fraka do pancerza
s t a r z e c zdejmie;
to tak jakby mu wolno odejmował imię po imieniu.

Eugeniusz Wygowski rok temu ukończył warszawską Akademię Sztuk Pięknych. W czasie studiów był postacią współtworzącą ludzki pejzaż Krakowskiego Przedmieścia. W jego pracy dyplomowej — fragment reprodukujemy — niektórzy dopatrują się szyderczego portretu pokolenia, z którym przez kilka lat przemierzał trasę „Dziekanka" — ASP — winiarnia „Hopfera".

Ryszard Krynicki

* * *

nagle nagi, obudziłem się, nagle nagi w kolejce po chleb:
obudziłem się nagle nagi w kościele na lekcji religii;
obudziłem się nagle nagi w klasie na lekcji geografii;
obudziłem się nagle nagi na nieznanym dworcu: bezsenność śnię;

---

krytyka ta rodzi sympatie, choć zarazem budzi smutne refleksje wokół wagi, jaką a r t y ś c i przykładają do materii i bytu.

Wypada przecież, po tych próbach zrozumienia dobrych intencji, energicznie zaprotestować przeciwko próbom demagogii. Oto Dorota Łabanowska strzela w Wydział Kultury Prezydium WRN z broni ciężkiej, bo porównawczej. „Każdy artysta tworzy po to, aby to, co zrealizuje, pokazać społeczeństwu. W Prezydium WRN fundusze na zakup prac są jednak minimalne. To samo można powiedzieć o innych instytucjach". Następnie Łabanowska powołuje się na przykład Wydziału Kultury PWRN w Łodzi, który „potrafi przeznaczyć na zakupy dzieł plastycznych 300 tysięcy złotych rocznie". Odpowiedzmy krótko: proporcjonalnie do liczby członków Związku, Wydział Kultury PWRN w Białymstoku dysponuje kwotą większą, choć zamyka się ona w granicach 60 tysięcy zł. Ale w Białymstoku działa 74 plastyków, natomiast w Łodzi — ponad 600. Proste dzielenie wykaże całkowitą mylność opinii Doroty Łabanowskiej.

Ponadto, twierdzi pani prezes, „Nie wykorzystuje się też u nas w pełni takiej możliwości, jak fundusze na zakup dzieł sztuki współczesnej, takimi dysponuje Zespół do spraw Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki". Z prawdziwym więc zażenowaniem wypada przypomnieć, że MKiS przeznacza na zakupy z Plenerów Białowieskich każdorazowo 100 tysięcy złotych, lecz nie zawsze suma ta jest racjonalnie „rozchodowana". Mam na myśli np. decyzję przeznaczającą rzeźbiarzom całą kwotę — patrz ostatni plener w Białowieży i Hajnówce — co ciężko i zgoła zbytecznie dotknęło malarzy. Rozgoryczeni polechali do domu, zamiast wdzięcznej pieśni mając na ustach coś innego.

D. Łabanowska z wyraźną niechęcią odnosi się też do BWA, którego „działalność ogranicza się najczęściej do wieszania i zdejmowania obrazów w czasie urządzania ekspozycji..."

Pani Łabanowska reprezentuje typ pamięci selektywnej: widzi to, co chce widzieć. A zatem nie dostrzega, nie pamięta wernisażu własnej wystawy indywidualnej, oprawionego w koncert jazzowy i poetycki, który był dobrą chyba próbą upowszechniania sztuki w sposób atrakcyjny, sugestywny dla widza. Podobne wernisaże, zorganizowane przez BWA, odbyły się jeszcze dwukrotnie. Ale to w końcu drobiazg.

Nie jest przecież drobiazgiem stała współpraca BWA z klubami zakładowymi, uczelnianymi, z klubem jednostki wojskowej i klubem MPiK, polegająca na urządzaniu wystaw plastycznych i spotkań autorskich. Nie jest przejawem wąskiego pojmowania zadań stojących przed BWA skompletowanie przez tę instytucję dziesięciu zestawów problemowych malarstwa i przesyłanie ich — przy pomocy Wojewódzkiego Domu Kultury — do PDK-ów. W roku 1972 i tej działalności towarzyszą spotkania z twórcami. Nie jest rzeczą błahą dla wychowania estetycznego młodzieży oprowadzanie po wystawach wycieczek szkolnych, a taki właśnie element znajduje się w programie pracy BWA.

Jak zaś określić przemilczenie tak kapitalnej inicjatywy BWA, jaką był zakończony jesienią ub. roku cykl odczytów „Jak patrzeć na dzieło sztuki", chronologicznie rozpięty między sztuką średniowieczną a nowoczesną, realizowany przez cały rok 1971? BWA wydało specjalny karnet ze zwięzłymi informacjami o problematyce każdego odczytu, jako lektorów zaprosiło wybitnych historyków sztuki — Jana Białostockiego, Andrzeja Jakimowicza, Grabską-Wallis — w rezultacie nie zawodząc się na słuchaczach, licznie ściągających na wieczory w klubie MPiK, którego kierownictwo było współorganizatorem imprezy.

Wspomnijmy przy okazji, że na zakupy dzieł plastyki współczesnej BWA przeznacza rocznie 30 tys. zł. Czy pani prezes w dalszym ciągu podtrzymuje, że działalność tej instytucji „ogranicza się najczęściej do wieszania i zdejmowania obrazów w czasie urządzania ekspozycji"?

W organizacji krajowego życia plastycznego istnieją poważne niedociągnięcia, o których w ostatnich latach mówi się często i głośno. Liczyć się zatem należy z rychłymi reformami tej ważnej dziedziny kultury narodowej. Z drugiej jednak strony nie ulega wątpliwości, że zarówno środki materialne, oddane do dyspozycji plastyki przez państwo, jak i możliwości organizacyjne nie są w pełni wykorzystywane, nie są przynajmniej wykorzystywane w sposób zgodny z interesami sztuki. Przykładem plenery — w 1971 roku ponad trzydzieści — które w obecnej chwili obniżyły range do tego stopnia, że w większości należy je uznać za spotkania relaksowe, za nie pozbawione uroku wczasowiska. Czy nie dlatego, że ZPAP zbyt jednostronnie akcentuje w praktyce sprawy materialno-organizacyjne swej działalności, zaniedbując nieco problematykę ideową twórczości? Czy nie dlatego, że o życiu związkowym decydują plastycy — użytkowcy, których perspektywy myślowe zaledwie ocierają się o tzw. sztukę czystą?

Uczestnicy dyskusji w „Gazecie Białostockiej" rozważali sprawy zakupów, etatów, akcentowali (Lidia Olszewska) dramatyczną sytuację materialną plastyków, mówili o wdzięcznym polu działalności „artystycznej", jaką stwarzają liczne sklepy, pozbawione czułej opieki mistrzów pędzla. Zgoda, to nie są problemy błahe, ale nie są to w końcu problemy artystyczne! Czy doprawdy artyści nie mają nic do powiedzenia na temat sztuki?

Wojewódzki Oddział „Ruchu" w Białymstoku zwrócił się do plastyków o nadsyłanie odpowiednich materiałów, potrzebnych do publikacji projektowanej monografii środowiska. Apel ten pozostał bez echa. Dziesięć białostockich klubów przyzakładowych oferuje plastykom odpłatne spotkania autorskie — przynajmniej raz w miesiącu. Nikogo z członków ZPAP to nie interesuje, bo rzekomo ta forma kontaktu z widzami jest „zawężaniem funkcji plastyka" (głos w dyskusji na łamach „Gazety Białostockiej"). Czy w tej sytuacji mecenasi nie mają prawa do zmęczenia, a raczej do zniechęcenia?

Zresztą ci mecenasi nie wydają się wcale zbici z tropu. Wydział Kultury PWRN przeznacza na potrzeby Plenerów Białowieskich każdorazowo 120 tysięcy złotych. Zakłady Drzewne w Hajnówce pokrywają trzy czwarte kosztów pleneru rzeźbiarskiego, związki zawodowe partycypują finansowo w organizacji tych spotkań artystycznych, a Zakłady Ceramiczne w Lewkowie koło Narewki ugościły uczestników pierwszego pleneru ceramicznego „czym chata bogata": udostępnieniem pieców i tworzywa. Dodajmy do tego Związek Młodzieży Socjalistycznej, finansujący ogólnopolski plener plastyczny w Borkach koło Augustowa, a „zmęczenie mecenasów" stałoby się w pełni zrozumiałe.

Poza wyjątkami owo „zmęczenie" jest jednak fikcją. Zło tkwi w strukturze wydatków na plastykę, strukturze w swej istocie nieczułej na jakość dzieła artystycznego, umożliwiającej dość przypadkowy podział dobra materialnego. Przykładem niech będzie zasada przyznawania stypendiów twórczych, traktowanych niejednokrotnie jako zapomogi dla członków Związku, znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. Od pewnego czasu resort kultury czyni przecież starania o rehabilitację stypendiów twórczych, równocześnie zmierzając do uruchomienia specjalnej puli zasiłków pieniężnych dla starszych plastyków. Innym przykładem niech będzie mechanizm zakupów, który spowodował sytuację dość kłopotliwą: zgromadzenie kilogramów bezwartościowych płócien i rzeźb — w wyniku myślenia „od tego, czy od tej dawno już nic nie zakupiono, więc czas najwyższy".

Kto odpowiada za ten stan rzeczy? Zdaniem uczestników dyskusji, za całe zło odpowiedzialne są instytucje i organizacje powołane do stwarzania odpowiednich warunków rozwoju twórczości artystycznej. W żadnym wypadku nie ZPAP, w tym konkretnym wypadku nie Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Białymstoku. Ludzie kochani, ale to przecież ZPAP odpowiada również za jakość owych warunków, to Związek wpływa na kierunki naszej polityki kulturalnej w zakresie plastyki — takie są przecież jego założenia statutowe! A jeśli ZPAP nie ma wpływu na tę politykę, to znaczy, że jest wewnętrznie rozbity, wewnętrznie rozdarty odmiennymi celami jego członków, a więc nie posiada mocy skutecznego działania. Nie tracąc z pola widzenia błędów popełnianych przez innych, złorzecząc na nich w imię społecznego interesu sztuki, nie wolno zamykać oczu na własne słabości. W przeciwnym wypadku ta totalna zabawa w oskarżanie wszystkich obrodzi co najwyżej rozgoryczeniem i nieufnością. Moim zdaniem ZPAP, w skali ogólnopolskiej, wymaga gruntownej reorganizacji, która przywrócić winna właściwe miejsce a r t y s t o m.

Na pierwszym miejscu listy potrzeb białostockiego środowiska plastycznego należałoby chyba umieścić zdrową atmosferę. Jej obecność lub brak w poważnym stopniu zależą od ludzi kierujących Związkiem. Ta atmosfera była w Białymstoku — gdzieś tak od roku 1963, w przeddzień uruchomienia Plenerów Białowieskich, i przez cztery lata następne. Plastycy działali wówczas nawet w nieco gorszych warunkach, a przecież wyczuwało się w tym mieście rytm autentycznego życia artystycznego, który swoją siłą niwelował sprzeczności natury pozaartystycznej, bardziej personalne, niż racjonalne. Tych ostatnich kłopotów nigdy się zresztą nie uniknie, ważne przecież, żeby nie przybrały zbyt szerokiego zakresu.

1) „Kontrasty" nr 11/1971 „Gazeta Białostocka" nr 97/1972.

KADRY

Dokończenie ze str. 1

Jeśli jednak pytać o to w konkretnych zakładach, czasem przeszkodą bywa jakaś atawistyczna zgoła niechęć dyrektorów do udzielania informacji, przynajmniej gdyby szło o cyfry bezwzględne zatrudnionych. Oto w pewnym przedsiębiorstwie lubelskim dyrektor wyciąga z biurka jakieś poufne zarządzenie resortowe, którego nawet nie mogę bliżej zobaczyć ani dotknąć, a które twardo określa, jakich to informacji nie wolno udzielać dziennikarzowi. Okazuje się jednak — na szczęście — że w Wojewódzkim Urzędzie Statystycznym służą mi pełnymi danymi o zatrudnieniu w tym zakładzie, bo akurat w pionie GUS-owskim nie istnieje zakaz informowania o działalności tego typu przedsiębiorstw. Szkoda zresztą, że do niektórych instytucji w ogóle chyba nie dotarło pismo premiera Jaroszewicza z dnia 22.IV.1971 roku, będące obowiązującym aktem normatywnym, a mówiące wręcz o obowiązku udzielania prasie informacji. W zestawieniu z tym pismem szereg zarządzeń resortowych, jako akty o niższej randze, traci swoją moc.

W roku 1970 na blisko 2 mln mieszkańców Lubelszczyzny około 380 tys. osób było zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej. Jest to procent zbyt niski i sytuacja mało zadowalająca, która pośrednio świadczy o rolnictwie lubelskim, rozdrobnionym i — by tak rzec — przeludnionym. Udział osób z wyższym wykształceniem zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej (bo o niej będzie cały czas mowa) lokuje nasze województwo w okolicach średniej krajowej. I tu jednak istnieją na Lubelszczyźnie pewne dysproporcje, szczególnie jeśli uwzględnić pozostałe poziomy wykształcenia.

Niepokoi na przykład liczba 180 osób zajmujących kierownicze stanowiska w pionie rad narodowych województwa (sekretarze gromadzcy, kierownicy wydziałów, oddziałów i referatów), a legitymujących się tylko wykształceniem podstawowym. Głównie idzie tu o sekretarzy gromadzkich. Szczęściem coraz bliższa jest wizja, że kierownik organu władzy wykonawczej na najniższym szczeblu będzie musiał mieć ukończone wyższe studia. Stworzone zostaną konieczne bodźce materialne, żeby odpowiedni ludzie chcieli zajmować te stanowiska. Oczywiście — to zamierzenia w skali całego kraju.

Niedobór osób z wyższym wykształceniem istnieje w lubelskim przemyśle, choć znowu proporcje są tutaj rozmaite. Najlepiej stosunkowo wygląda sytuacja w przemyśle środków transportu, źle — w przemyśle spożywczym. Ten pierwszy na 20 500 zatrudnionych posiada 906 osób z wykształceniem wyższym, 3 980 ze średnim oraz 7 200 z zasadniczym zawodowym. Drugi na 25 200 zatrudnionych analogicznie: 530, 3 500, 4 100.

O sprawy kadrowe pojechałem spytać m.in. do Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego. W zakładzie przy ul. Turystycznej pracują na stanowiskach kierowniczych 43 osoby, w tym 18 z ukończonymi studiami, 14 z wykształceniem średnim, 7 z zasadniczym zawodowym oraz 4 z podstawowym. Sytuacja więc niezbyt bliska optymalnej, choć ludzie mający braki w wykształceniu nadrabiają to wieloletnim stażem pracy i sprawdzoną przydatnością zawodową.

Myślę, że sposoby uzdrowienia sytuacji, jakie podjęto w Zakładach Mięsnych, są przykładem postawy umiarkowanej i rozsądnej. Nie idzie przecież o to, by naraz przeprowadzić totalną kampanię przeciwko kierownikom oddziałów czy wydziałów, którzy nie legitymują się pożądanym wykształceniem. Jeśli są to osoby sprawdzające się na swoich stanowiskach, nikt nie zamierza ich „zdejmować". Jeśli natomiast zachodzi potrzeba wymiany tego czy innego człowieka, wówczas przenosi się go na mniej odpowiedzialne stanowisko, ale utrzymuje się dotychczasowe pobory, co niekiedy może być sprzeczne z taryfikatorem, lecz z pewnością jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem. W zeszłym roku „wymieniono" w ten sposób cztery osoby w zakładzie. Na ten rok istnieje również program takich przesunięć.

Przekroczywszy bramę Zakładów Mięsnych, natknąłem się zresztą nie tylko na tego rodzaju problemy kadrowe, problemy, o których mówi się także w innych zakładach pracy. Ot choćby nieśmiertelna sprawa opinii wystawianych pracownikom. Zasadniczo nie istnieje w Polsce możliwość wystawienia zwalnianemu pracownikowi złego świadectwa. „Vademecum prawa pracy" powiada: „W świadectwie pracy nie wolno umieszczać żadnych znaków ani uwag mogących utrudnić pracownikowi uzyskanie nowej pracy". A jeśli pracownik jest zły, co zostało ewidentnie stwierdzone? Wtedy pozostają tak zwane telefony „poufne" między zainteresowanymi zakładami. Prowadzi to do sytuacji niezdrowej, bo niejawnej, na której zresztą tracą przede wszystkim zwalniani pracownicy uczciwi. Szczęściem praktyka Sądu Najwyższego przyniosła ostatnio ważny precedens, że właśnie można w opinii zwalnianego pracownika umieścić — jak podaje „Trybuna Ludu" (nr 73) — nawet adnotację, iż „wydalenie z pracy nastąpiło za świadome tolerowanie usiłowania wywiezienia na szkodę zakładów mięsa przez pracownika". Oczywiście mniej ważne są tutaj szczegółowe okoliczności, a znacznie istotniejszy jest sam precedens.

Inna kwestia to wykorzystanie kadr, a szczególnie tak zwane zajęcia pozaprodukcyjne kadry inżynieryjno-technicznej. Problem ów zilustrowano mi na przykładzie... kontroli. „Nie ma, proszę pana, dekady, żeby nie było kontroli. Czasem jednocześnie pięć kontrolnych instytucji u nas siedzi. Po dwa, trzy miesiące kontrolują. Albo jedni po drugich kontrolują to samo zagadnienie. Nieraz nie wiemy, gdzie posadzić wszystkich kontrolujących. Ale to drobiazg. Gorzej, że musimy ludzi od produkcji odrywać, właśnie inżynierów, żeby przygotowywali wyczerpujące materiały i zestawienia dla organów kontrolnych. W tym wymiarze to jest problem".

W Polsce pracuje dziś 26 tys. ludzi w rozmaitych organach kontrolnych. Zaczynamy teraz głośno mówić, iż organów tych jest za wiele, albo że nie zawsze potrafią one skoordynować między sobą swoje wysiłki i czynności. Powiedzmy więc sobie jeszcze, że przesadnie rozbudowany system kontroli ogranicza samodzielność i samorządność przedsiębiorstw, do której przecież dążymy.

Przy okazji usłyszałem, już nie tylko w Zakładach Mięsnych, nieco narzekań na młodą kadrę. Młodzi boją się stanowisk kierowniczych, gdyż boją się odpowiedzialności. „Taki nie chce zostać majstrem, bo na linii produkcyjnej może zarobić tyle samo, co majster". Młodzi są niedouczeni. „28-letni technik mechanizacji rolnictwa nie potrafi obliczyć pola koła, a na pytanie, w jakich jednostkach mierzy się powierzchnię, odpowiada: ano w stopniach". Tego oczywiście, nie można generalizować, lecz chyba tkwią za tym już jakieś problemy, a nie tylko zjawiska incydentalne.

O młodych jednak słyszałem też dobre rzeczy. Szczególnie o młodych pracownikach dojeżdżających ze wsi, która to kwestia ma dla Lubelszczyzny szczególne znaczenie. „Mówi się słusznie o wychowawczej roli pracy. Jeśli taki chłopak nieźle zarabia, to on się staje jednym z pierwszych we wsi kawalerów, a przy tym szanuje swoją robotę i swój zakład. Ostatnio obserwujemy większą dyscyplinę i odpowiedzialność za pracę u młodzieży wiejskiej; jest to plastyczny materiał ludzki, który można łatwiej wychować".

Świadomie wybrałem kilka problemów kadrowych, co do których nie zawsze posiadamy aktualne rozpoznanie w skali województwa, jeśli w ogóle posiadamy jakiekolwiek rozpoznanie. Myślę zresztą, iż ów niedowład służb informacyjnych to kwestia ogólnopolska, a nie akurat specyfika lubelska. A przecież problematyka nowoczesnego systemu zarządzania gospodarką to głównie sprawa właściwego systemu informacji, w tym także informacji o stanie kadr w gospodarce uspołecznionej.

Źle bowiem, gdy kontrahent zasiadający przed dyrektorem określonego przedsiębiorstwa więcej wie o zakładzie niż sami gospodarze tego zakładu. Możliwie pełna informacja jest nieodłączną częścią kierowania. Toteż rozwój systemu informacji staje się w naszym kraju palącą koniecznością: od ogólnopolskiego systemu informacji, poprzez wojewódzkie stacje informacji aż do placówek branżowych i zakładowych. Na świecie działa dziś 139 tys. komputerów, w Polsce — 259 sztuk, z których sporo jest wykorzystywanych po prostu źle, bo jako zwyczajne maszyny liczące, a nie integralny element w podejmowaniu decyzji ekonomicznych.

Jeśli idzie o sprawy kadrowe, konieczne jest podjęcie badań informacyjnych, na razie choćby tylko metodą reprezentacyjną, lecz badań obejmujących jak najszerszy zakres problemów, a nie jedynie tradycyjne kwestie ujęte w rocznikach statystycznych GUS-u. Z tym trzeba łączyć lepsze niż dotąd rozpoznawanie perspektyw i potrzeb naszej gospodarki, nawet poza rok 1975, przede wszystkim szłoby o rozpoznanie przyszłego poziomu techniki, od niego bowiem zależą potrzeby kadrowe gospodarki oraz polityka zatrudnienia i polityka kadrowa, jaką będziemy w najbliższych latach prowadzić. Te kwestie wymagają studiów na szczeblu centralnym. Wstępne środki na te cele można wygospodarować w związku z postulowaną przez VI Zjazd PZPR koniecznością zmniejszenia liczby komórek centralnej administracji gospodarczej. A gdyby szło o Lubelszczyznę, już teraz powinniśmy intensywnie myśleć o rozpoznaniu sytuacji kadrowej i perspektyw szkolnictwa w kontekście przyszłego Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Jest to przecież na naszym terenie inwestycja całkiem nowa i nowoczesna, a przy tym perspektywiczna, nie ma więc potrzeby doraźnego budowania systemu kadr, istnieje czas na posunięcia planowe i długofalowe.

Maciej Podgórski

Kamena str. 6

Nowotwory nad wodą

Dokończenie ze str. 1

dostosowanym do potrzeb współczesności. Rzecz jasna, nastąpi to wtedy, gdy LOK otrzyma odpowiednie fundusze.

Na tymże placu stoi jeszcze jeden budynek: dość obszerny, murowany hangar. Właśnie panowie Zdzisław Kusyk i Lucjan Michalik kończą budowę czwartego już w swej karierze „Ramblera", 6-osobowego jachtu żaglowego, z kryta kajutą do spania. Będzie on przewieziony na Mazury. Ma 5,20 m długości, 2 m szerokości, kajuta — 1,25 m szerokości. Solidna robota. Zapewne przyszli użytkownicy nie domyślą się nawet, że jednostka, na której pływają, jest dziełem rąk zwykłych chłopo-stolarzy z Firleja, którzy przekwalifikowali się na chłopo-szkutników.

Nic pozytywnego nie można jednak powiedzieć o nowym hangarze. Jest po prostu szpetną budą, choć mocnej konstrukcji. Ta ostatnia cecha to nie zaleta, a dodatkowa wada. Postoi pewnie ze 100, a może i więcej lat, nawet gdyby nie konserwowano dachu, bo pustaki cementowe odporne są na wilgoć i czynniki atmosferyczne. Wystarczy to sobie uświadomić, a już wiemy, że projektant oraz urzędnik, który wydał zezwolenie na ulokowanie go tu, a wreszcie budowlani, zresztą także i inwestor, zeszpecili ten kawałek brzegu jeziora — licząc nawet z perspektywy dzisiejszych obesków — na trwałe. Bo ten obskurny hangar służyć będzie naszym dzieciom, wnukom i prawnukom.

A przecież bez proroczych wizji można przepowiedzieć, jak sytuacja będzie wyglądała za — powiedzmy — 10 lat. Wraz z podniesieniem się stanu zamożności społeczeństwa, rozwojem motoryzacji, wydłużeniem się wolnego czasu i coraz większym zmęczeniem cywilizacją wzrośnie zapotrzebowanie na usługi wypoczynkowe o odpowiednim standardzie. Żeglarstwo ma to do siebie, że można je uprawiać od chwili stopnienia lodów do chwili, gdy ponownie skują one wodę. Żeglowanie wczesną wiosną i późną jesienią ma pewne uroki, których nie daje lato: silne wiatry i mniejszy ruch na jeziorze. W pełni zimy zamarznięta tafla wody wabi możliwością ślizgania się na bojerach. Żeby to realizować, potrzebna jest odpowiednia baza. Można już przypuszczać, jak będzie wyglądał wtedy ośrodek LOK: w miejsce baraków i domków stanie budynek, na parterze mieszczący hangar na łodzie oraz garaż, na piętrze biura, stołówkę i świetlicę, a jeszcze wyżej — ogrzewane sypialnie z wygodami. Baraki i domki z dykty wysłużyły już swoje i zburzenie ich nie wywoła żalu. Ale co z hangarem? Albo będzie stał nadal i szpecił otoczenie albo też trzeba go będzie rozebrać, co już dziś pozwala stwierdzić, iż zbudowano go nie tylko bez liczenia się z potrzebami najbliższej przyszłości, ale nawet bez rachunku ekonomicznego. Pomijam już sprawę ochrony środowiska naturalnego oraz przekształcania tego środowiska w sposób estetyczny i racjonalny. Zwyciężyła potrzeba chwili. Wszystko inne nie liczyło się.

Pokazałem ośrodek Ligi Obrony Kraju w Firleju, który jest uważany za przykład dobrej gospodarności, zmąconej jedynie sprawą hangaru. A przecież mamy w województwie lubelskim dziesiątki przykładów całkowicie bezsensownej gospodarki na terenach turystyczno-wypoczynkowych. A przecież mamy tysiące ludzi, którzy niczym konie dorożkarskie, z klapami na oczach, biegną rączo, widząc tylko kawałek drogi przed sobą — bez oglądania się na boki i do tyłu. Bez zastanawiania się, że przed nimi może być coś, czego jeszcze nie dostrzegają, a co wyłoni się nieuchronnie po krótszej czy dłuższej chwili.

To coś, widoczne lub wyobrażalne pod nosem; to domek, a raczej kilka domków campingowych. Potrzeba wypoczynku na świeżym powietrzu, zwłaszcza nad wodą, jest coraz większa. W województwie znajduje się 70 jezior (68 na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim oraz Firlej i Kunowskie, w połowie drogi pomiędzy Lubartowem i Kockiem). Są to wody czyste, na ogół dość głębokie (Piaseczno ma ok. 40 m), jedne z najcieplejszych w Polsce.

Niestety, celom rekreacyjnym służyć mogą tylko nieliczne. Część bowiem ma niedostępne brzegi, część z powodu unikalnej flory jest pod ochroną, niektóre włączone w system kanału Wieprz — Krzna stały się zwykłymi zbiornikami retencyjnymi o zmieniającym się poziomie. Przed 15 laty zaczęło się zagospodarowywanie turystyczne wybranych jezior. Polegało ono na budowie prymitywnych, drewnianych domków campingowych. Była to droga szybko owocująca. Wystarczyło wydać kilkadziesiąt tysięcy złotych, dostać zezwolenie (albo i bez zezwolenia), wynająć małą parcelę na brzegu i już grupka ludzi danego zakładu pracy mogła spędzać tam urlop. Za rok dobudowało się kilka dalszych domków, potem znów dalsze i tak dalej. W dziele tym doszliśmy szybko od zera do nieskończoności. Zjawisko było zresztą ogólnopolskie, choć na Lubelszczyźnie wystąpiło szczególnie jaskrawo.

Jezioro Białe pod Włodawą otoczone zostało kilkudziesięciometrowej szerokości pasem, na którym domek stoi koło domku. Ile ich jest? Może tysiąc? Dokładnie nie wiadomo, inwentaryzacji nie ma. Zabudowano dość gęsto w ten sam sposób brzegi jeziora Bialskiego pod Sosnowicą w pow. parczewskim i brzegi Firleja. Pierwsze domki, stojące tu i ówdzie, na pustkowiu, dawały mieszkającym w nich ludziom możność pobytu bez wygód, ale na łonie natury, w odosobnieniu, ciszy, spokoju. Jednakże wybudowanie zbyt wielu zniszczyło te walory, nie dając w zamian nic. Powstały wakacyjne osiedla slumsów, psich bud dla ludzi, przy czym w parze nie szedł rozwój obiektów towarzyszących, jak stołówek, świetlic, baz sportów wodnych itd. — nawet na równie nędznym poziomie.

Kiedy powstawały te pierwsze osiedla, opinia publiczna przyjmowała je z satysfakcją, widząc szansę godziwego wypoczynku. Pocieszano się, że chwilowy prymityw zostanie w przyszłości, gdy poprawi się sytuacja ekonomiczna kraju, zastąpiony solidnymi ośrodkami wypoczynkowymi o odpowiednim standardzie.

Nic złudniejszego. Budowa domków dawała najszybsze efekty, a

Czy zburzymy Bramę Krakowską?

Dokończenie ze str. 1

chyba zaryzykować twierdzenie, że dzisiejszy kształt śródmieścia jest wynikiem piętnastolecia 1815—1830.

Fakt, że ten — nadany Lublinowi na początku XIX stulecia — układ urbanistyczny, przeznaczony przecież na śródmieście miasta dziesięciotysięcznego, funkcjonuje do dziś jako centrum miasta dwustupięćdziesięciotysięcznego jest najwyższym sprawdzianem polskiej myśli urbanistycznej owych czasów. Zwłaszcza, że dystans dzielący czasy Królestwa Kongresowego od nam współczesnych jest w rzeczywistości wielokrotnie większy niż kilka wieków dzielących miasto lokacyjne od miasta Królestwa Polskiego.

Wydaje się więc, że skala wartości dokonań budowniczych średniowiecznego Lublina i architektów Królestwa Kongresowego nie jest tak bardzo różna i walory urbanistyczne przemian XIX-wiecznych zasługują w równej mierze na chronienie jak spuścizna średniowieczna.

W czasie regulacji miasta na początku XIX stulecia nastąpiło charakterystyczne odizolowanie Starego Miasta i pozostawienie go na uboczu w stosunku do głównych ciągów komunikacyjnych. Dzięki temu Stare Miasto zostało zabezpieczone przed niewłaściwymi modernizacjami i mogło zachować swój nieskażony kształt, i także to trzeba odnotować na plus urbanistów Królestwa Kongresowego.

Ponieważ jednak faktycznie Stare Miasto było i jest w obrębie śródmieścia Lublina, projektując na tym terenie nowe ciągi komunikacyjne nie powinno się zniweczyć dotychczasowych osiągnięć i dokonać tego, przed czym przez tak długi okres — ukształtowana historycznie struktura staromiejska — skutecznie się broniła. Nie wolno naruszyć zabytkowej substancji dzielnicy staromiejskiej.

Plan szczegółowy Starego Miasta opracowany został w zespole mgr inż. arch. Jadwigi Jamiołkowskiej w Pracowni Projektowej PP PKZ, jako pierwsze tego rodzaju zlecenie.

Projektantom — przed przystąpieniem do opracowywania planu — zostały dostarczone szczegółowe wytyczne konserwatorskie, w których na wstępie podano szereg propozycji dotyczących zasady traktowania wnętrz bloków, oświetlenia, szyldów i reklam oraz zieleńców. Uzupełnieniem tych ogólnych wskazań było omówienie poszczególnych kamienic staromiejskich: wymienione zostały wytyczne do uporządkowania zabudowy działki oraz wewnętrznego układu przestrzennego, a także elementy do bezwzględnego zachowania. W zakończeniu podano zestawienie możliwości nowych form użytkowania.

Wyposażeni w taką broń, projektanci przystąpili do kreślenia planu, w którym, niestety, propozycje wyburzeń znacznie przewyższały ilości określane potrzebami sanacji bloków i wytycznymi konserwatorskimi do projektowania.

Do najbardziej typowych dla naszej dzielnicy staromiejskiej należą przecież takie ulice jak Olejna czy Szambelańska, przy których typuje się najwięcej wyburzeń. Co z tego, że ich zabudowa nie pochodzi z XIV wieku, jeżeli prawidłowo kształtuje wnętrze ulicy, jeśli ma nastrojowy charakter i podnosi atrakcyjność zaułków?

Choć może wyda się to paradoksem, ale najbardziej „staromiejską" jest ulica Szambelańska, uformowana dopiero w XIX stuleciu, należąca do ulic najczęściej rysowanych i fotografowanych przez malarzy i artystów od XIX wieku. To do domów przy ulicy Szambelańskiej i Olejnej odnieść można część strof z wierszy Czechowicza i Arnsztajnowej.

Nie można oprzeć się pokusie i nie zacytować fragmentu utworu Franciszki Arnsztajnowej „Na Olejnej", w którym mowa o przeznaczonym do likwidacji fragmencie zabudowy przy ul. Olejnej 10 z charakterystyczną, wmurowaną na narożniku figurką leżącego lwa.

Szybko mrok zapada w ciasnej ulicy,
domy szczytami schodzą się prawie.
Na wąski nieba skrawek
wychynął róg księżyca.
Ocknął się mały lew,
ślepia przetarł leniwie,
wstrząsnąwszy kamienną grzywą,
z płaskorzeźbionej tablicy wyrytej
schodzi na nocną wartę.
Tam i na powrót przemierza
wąwóz ulicy głębokiej,
czujnie okrąża starą mennicę,
czając się za skarpą,...

Czy można dopuścić, by w ślad za starą mennicą i lew stał się tylko poetyckim wspomnieniem?

Nie pomogą liczne deklaracje w tekście planu, że każda ewentualna rozbiórka będzie uzgadniana z władzami konserwatorskimi — ponieważ od zatwierdzonego planu miejscowego odwołań właściwie już nie ma. Dodaję „właściwie", gdyż dopuszcza się rewizje planu, ale jak to wygląda w praktyce, ilustruje świetnie przykład Głębokiej Drogi w Puławach, o którą w roku 1967 było tyle interwencji, aż do Prezesa Rady Ministrów włącznie.

A decyzje w sprawie takiego poprowadzenia Głębokiej Drogi zapadły w zatwierdzonym — przy sprzeciwie władz konserwatorskich — planie ogólnym zagospodarowania przestrzennego Puław. Przystępując do realizacji Głębokiej Drogi, musiano sankcjonować zapadłe o pięć lat wcześniej postanowienia planu, choć na pewno w tym fragmencie nie były one prawidłowe.

Kto zatem będzie słuchać konserwatorów, którzy potem, gdy dla ochrony stylowej architektury zjawią się nowe argumenty lub nie dojdzie do skutku planowana adaptacja, zechcą bronić tego czy innego budynku?

Niebezpieczeństwo urządzenia licznych parkingów w obrębie Sta-

nie wymagała takich zachodów, jak przy normalnych inwestycjach: zatwierdzeń, lokalizacji, poszukiwań materiałów itd. Były deski — stawiało się domki z desek, były płyty — z płyt, była dykta — z dykty. Oddelegowało się na tydzień jedną grupę robotników, na drugi tydzień inną — i jakoś to szło.

Wszakże wkrótce okazało się, że domki nie są wcale tańsze od obiektów trwałych, że metr kwadratowy ich powierzchni kosztuje w przybliżeniu tyle, co metr powierzchni użytkowej w spółdzielniach mieszkaniowych, a przy tym wymagają corocznych remontów, nie mówiąc już, iż sezon wypoczynkowy w nich trwa najwyżej 3 miesiące w roku, a warunki są gorzej niż skromne. W sprawie tej alarm podjęła prasa dodając, że bezmyślne zabudowywanie domkami miejscowości wypoczynkowych jest marnotrawstwem terenu i niszczeniem przyrody. Okazało się też, że do niektórych ośrodków, o nadmiernie gęstej zabudowie, już nie chcą przyjeżdżać ludzie.

Na szkodliwość takiej drogi rozwoju bazy turystycznej w woj. lubelskim zwróciła uwagę „Kamena" w artykule z roku 1967 „Co zrobić z tym skarbem?" (nr 16/373), a potem w kolejnych publikacjach. W tymże roku jesienią w Lublinie odbyła się ogólnopolska sesja urbanistów, architektów, ekonomistów oraz specjalistów z innych dziedzin, na temat rozwoju turystyki i wypoczynku. Po wizji lokalnej nad Białym oceniono zagospodarowanie jeziora jako typowy przykład tego, czego robić nie należy. Podkreślono, iż jedyną słuszną drogą jest budowa stałych, kompleksowych obiektów typu pensjonatowego, o standardzie odpowiadającym średnim wymogom europejskim, możliwych do podniesienia standardu w przyszłości. Obiektów ewentualnie uzupełnianych tylko domkami campingowymi czy namiotami.

Niestety, sytuacja po owej sesji niewiele się zmieniła, poza tym, iż coraz więcej przedsiębiorstw zaczęło budować domki murowane, lub też zastępować stare, drewniane — murowanymi. Była to zmiana niekorzystna. Koszta budowy wzrosły, ale standard niewiele się podniósł, natomiast cegły, pustaki czy pianobeton wskazywały, iż tak ma pozostać na dziesiątki lat.

Trzeba powiedzieć, iż sytuacja wewnętrzna w Polsce nie sprzyjała budownictwu socjalnemu. O zezwolenie i fundusze na inwestycje było bardzo ciężko, tymczasem zapotrzebowanie nieustannie wzrastało, toteż wypełniano je w możliwie dostępne sposoby. Byłoby jednak uproszczeniem zwalanie wszystkiego na nakazy i zakazy płynące z Warszawy. W innych rejonach kraju dokonywano postępu, gdy Lubelszczyzna stała w tej materii w miejscu. W jednym tylko roku Prezydium WRN w Gdańsku zlikwidowało 100 osiedli domków campingowych nad brzegiem Bałtyku, wydając na opróżnione dzięki tej operacji tereny lokalizację obiektów typu pensjonatowego. Inny przykład: FSO na Żeraniu miała wielki ośrodek campingowy w Augustowie; gdy kończył się okres dzierżawy terenu, Prezydium augustowskiej PRN przedłożyło warszawskiej fabryce umowę dzierżawną pod warunkiem zbudowania trwałych pawilonów. Dziś stoją tam trzy kilkupiętrowe pensjonaty FSO, czynne i mające komplet gości niemal przez cały rok! (W miesiącach mniej atrakcyjnych organizowane są kursy żeglarskie, wypoczywają renciści, przyjeżdżają dzieci szkolne na ferie świąteczne, odbywają się konferencje, szkolenia itd.

W województwie lubelskim wydaliśmy dziesiątki, a może setki milionów złotych, nie zbudowaliśmy jednak ani jednego ośrodka z prawdziwego zdarzenia. To już nie tylko sprawa możliwości, lecz także poziomu cywilizacji, świadomości kulturalnej, a może i atmosfery społecznej. WSK Świdnik wybudowała sobie solidne, nowoczesne domy wpoczynkowe w Bieszczadach, luksusowe niemal, czynne przez cały rok; ale nad jeziorem Białym postawiła osiedle campingowe jakby dla ubogich krewnych. Żaden z innych potentatów przemysłowych, FSC Lublin, KFWM Kraśnik, cementownie, nie stworzyły w województwie ani jednego obiektu wypoczynkowego na poziomie już nie europejskim, ale zbliżonym do czołowych osiągnięć budownictwa socjalnego w Polsce. Osiedla domków campingowych jak nowotwory ogarniają coraz większe połacie nad jeziorami lubelskimi. Coraz trudniej objąć je racjonalną gospodarką, coraz więcej kosztują remonty, coraz bardziej wzrasta dysproporcja pomiędzy liczbą łóżek, a liczbą miejsc gastronomicznych, pojemnością urządzeń sanitarnych, kulturalnych i sportowych. Coraz bardziej pustoszone są zasoby przyrody.

Coś się w tym czasie w Polsce działo. Ustalone zostały poglądy na drogi rozwoju bazy turystycznej. Wyszły zarządzenia o konieczności opracowywania kompleksowych planów zagospodarowania przestrzennego rejonów o walorach wypoczynkowych oraz zarządzenia o konieczności budowy obiektów trwałych, kumulowaniu w rękach inwestora zastępczego środków finansowych na cele socjalne małych zakładów pracy. Jakież to dało rezultaty u nas? Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni i Rada Zakładowa przy Prez. WRN skumulowały swe środki i wspólnie wybudowały nad jeziorem Zagłębocze ośrodek wypoczynkowy, jednakże niewiele różniący się od innych — ot, nieco wyższe domki, tyle że przy nich piętrowy pawilon gastronomiczny. W dalszym ciągu więc dla mieszkańca Lubelszczyzny synonimem luksusowego urlopu jest pobyt w Domu Prasy w Kazimierzu, czy w Domu Architekta, zapewniających możność wypoczynku i kulturalnego spędzenia czasu także w dni chłodne lub deszczowe (jakich u nas nie brakuje); tymczasem są to domy dość skromne w porównaniu z tymi, w jakich wypoczywają robotnicy w innych województwach.

Przykładów działalności niesłusznej, niewłaściwej, niezgodnej z prawem, mamy bez liku. Zarówno nad jeziorami, jak i w innych częściach województwa, np. na Roztoczu. Zakłady „Lechia" z Lublina postawiły nad stawem w Zwierzyńcu dwa stare autobusy, w nich łóżka polowe i już to był zaczątek ośrodka wczasowego, choć nie mieścił się w planach zagospodarowania przestrzennego. Lubelskie MPK swoją bazę wypoczynkową w tymże Zwierzyńcu zaczęło od kilku małych domków, bez żadnej stołówki, czego już dziś przepisy zabraniają — ale któż dziś przejmuje się przepisami? Nawet Prokuratura Wojewódzka bez zezwolenia rozpoczęła przygotowania do budowy domków campingowych nad jeziorem Perespa w powiecie włodawskim, zwożąc tam materiały budowlane. Dopiero sprzeciw miejscowego nadleśnictwa oraz działaczy ochrony przyrody i myśliwych z koła łowieckiego tego rejonu spowodowały, iż budowę wstrzymano i sprawa czeka na załatwienie. Sprzeciw leśników, myśliwych i przyrodników wynikł z tego, iż w pobliżu Perespy znajdują się czaplowisko oraz matecznik łosi, więc dla spokoju ptactwa i zwierzyny nie wolno tam nawet zakładać biwaków.

Jednakże atak na przyrodę trwa. Harcerz kocha przyrodę — głosi jedno z podstawowych praw ZHP. Tymczasem Chorągiew Lubelska uparcie stara się o budowę bazy nad jeziorem Czarnym Sosnowickim, które ze względu na swą florę jest chronione jako zabytek przyrody. Harcerze mogliby ulokować się nad którymś innym jeziorem, a nad Czarne przychodzić tylko dla podziwiania jego walorów. Nie zdają sobie sprawy zapewne, że jeśli będą tam pierwsi, to nie ostatni.

I oto mamy połowę marca 1972. W ośrodku wypoczynkowym FSC nad Firlejem robotnicy pod kierownictwem Jana Urbana z Powiatowego Zarządu Dróg Lokalnych w Lubartowie budują nowe piękne molo, dwuramieniowe, połączone ramionami poprzecznymi, razem będzie miało 227 m długości, a w środku między ramionami — kąpielisko. Tylko chwalić FSC, gdyby nie to, że fabryka likwiduje drewniane domki, zastępując je murowanymi, ale też domkami. Część postawiono, dalsze w budowie. To znaczy utrwalenie stanu obecnego, prymitywnego, na długie lata.

Fot. CAF

Niedaleko, na niewielkiej działce, ekipa Wojewódzkiej Wytwórni Żelbetonowych Prefabrykatów Drogowych wznosi sześć nędznych domeczków z pianobetonu dla jakiejś instytucji oświatowej w Lublinie. Robotnicy i brygadziści nie wiedzą nawet dla jakiej. Przy okazji, sposobem gospodarczym podobno, stawia się też 6 domków dla tegoż przedsiębiorstwa prefabrykatów drogowych. Bez stołówki, bez świetlicy, bez żadnych dodatkowych obiektów. Domki stoją tuż nad jeziorem, choć przepisy aktualne każą, by minimalna odległość od wody wynosiła 50 m. Z boku wielki, głęboki rów. Myślałem, iż to zadatek na kanał — przystań dla łodzi. Nie, wybierano stąd piasek na plażę przy ośrodku FSC. Po sąsiedzku ośrodek Przedsiębiorstwa Produkcji Prefabrykatów Budowlanych w Lubartowie. Postawili wprawdzie jeden piętrowy budynek z garażem na dole i kawiarnią na górze oraz szeroką krytą werandą, z której rozpościera się wspaniały widok, ale obok szereg klitek...

Rozmawiałem z kilkoma działaczami. Opowiadali mi, jakie powodzenie mają domki campingowe wśród robotników, inteligencji i młodzieży uczącej się. Nie była to jednak odpowiedź na moje wątpliwości. Nie było to wyjaśnienie, co wybraliby robotnicy, gdyby mieli możliwość wyboru: pobyt w domku, czy w eleganckim pensjonacie? A przecież pensjonat, wziąwszy wszystkie okoliczności pod uwagę, jest tańszy, nowocześniejszy, nie zestarzeje się tak szybko.

Głowa pęka, gdy się myśli o tym, co się dzieje nad jeziorami lubelskimi. Kto jak kto, ale architekci, urbaniści, ekonomiści, socjologowie powinni wiedzieć, jak należy budować ośrodki wypoczynkowe, aby były tanie, opłacalne w eksploatacji, gwarantowały przedłużenie sezonu, wypoczynek wygodny, kulturalny, zdrowy, aby jak najlepiej przy tym uchronić przyrodę.

Nic nie przychodzi darmo, efektywność nie zawsze daje się pogodzić ze skutkiem doraźnym. Tymczasem inwestorzy dążą do skutków doraźnych, bo za to zbierają brawa, a nie za ewentualne perspektywy. Inwestorzy są możni, powołują się na żądania swych załóg i w końcu wygrywają, aczkolwiek trudno stwierdzić, czy aplauz tych załóg jest rzeczywisty.

Jedno jest natomiast pewne: według wykazów statystycznych liczba łóżek w ośrodkach wypoczynkowych w woj. lubelskim rośnie. Ale co się kryje za tą statystyką?

Romuald Wiśniewski

---

rego Miasta zatrważa tym bardziej, że ich liczba w przyszłości też może okazać się niewystarczająca i wzbudzi dalsze apetyty do rozbiórek w tej dzielnicy.

W planie perspektywicznym zakłada się wyburzenie części zabudowy po lewej stronie Bramy Krakowskiej, w planie kierunkowym projektuje się likwidację zabudowy po jej prawej stronie. W następnym okresie w swobodnym połączeniu tych dwóch nie zabudowanych terenów przeszkadzać już będzie tylko Brama Krakowska!

Cóż, nieraz narzekano na tę budowlę i noszono się z zamiarem jej rozbiórki. W dziewiętnastowiecznych aktach doczytać się można między innymi takich sformułowań: *Brama ta i wieża zupełnie zasłania Rynek miasta, zacieśnia przystęp do tegoż, jest przyczyną, iż ulica od Rynku do Krakowskiego Przedmieścia prowadząca, jako zacieniona, jest zawsze ciemna i mokra i przez zamknięcie tą Bramą Rynku miasta powietrze w tymże jest niezdrowe. Komisja Wojewódzka zatem zważając [...], że przez zniesienie tej wieży i Bramy miasto Lublin znacznie się upiększy przez połączenie Rynku z Krakowskim Przedmieściem jak równie i to, że dotąd jedna ulica błotna i zacieniona osuszoną zostanie [...], przedstawia potrzebę [...] zniesienia pomienionej Bramy i wieży.*

Brama Krakowska stoi jednak nadal, stać będzie, i nie dla jej obrony roztaczane są te czarne horoskopy. Podnosząc prowokacyjnie ten temat, ma się ochotę obudzić czujność opinii publicznej i zaostrzyć wątpliwości tych czynników, które mają decydujący wpływ na dalszy los Starego Miasta. Uszczuplanie substancji zabytkowych, okrajanie obrzeży dzielnicy staromiejskiej, likwidacja zabudowy na rzecz parkingów są wystarczającymi powodami do uderzenia na alarm.

Przypomnieć tu trzeba międzynarodowy dokument o zakresie ochrony zabytków, sygnowany także przez nasz kraj, tzw. Kartę Wenecką. W jednym ze swych punktów Karta orzeka, że: *Konserwacja zabytku zakłada konserwację otoczenia w jego skali. Jeśli otoczenie dawne przetrwało, będzie ono podlegać ochronie i wszelka dobudowa, wszelka rozbiórka i wszelka przeróbka, która mogłaby zmienić stosunki brył i barw, zostanie zakazana.*

A czym jest proponowana rozbiórka kamienic po prawej stronie ulicy Królewskiej, rozbiórka sąsiada Bramy Krakowskiej — domu przy ul. Rady Delegatów 1, czy likwidacja zabudowy na dużych odcinkach ulic Olejnej, Szambelańskiej i Rady Delegatów?

Ani struktura, ani substancja zabytkowego układu przestrzennego nie mogą być traktowane jako tworzywo do komponowania nowych całości, nie mających uzasadnienia historycznego, w drodze wyburzeń elementów historycznie uzasadnionych.

Ponieważ jednocześnie proponuje się przeprowadzenie ulic Królewskiej oraz Rady Delegatów na odcinku w pobliżu Bramy Krakowskiej w głębokim kanale, oznaczałoby to powstanie w tym rejonie takich relacji przestrzennych, jakie tu nigdy nie istniały.

I także w tym przypadku powoływanie się, że tego rodzaju przedsięwzięcie czynione jest z myślą o wyeksponowaniu fundamentów dawnych murów miejskich, nie może zadowolić, gdyż nie przywróci to przecież relacji przestrzennych miasta średniowiecznego, jeśliby nawet tego rodzaju zabieg dopuszczała Karta Wenecka.

Stare Miasto w Lublinie jest kompleksem zamkniętym. Dawne mury obronne zostały zastąpione przez wzniesione na ich linii zwarte ciągi kamienic. Jest to swoista specyfika Lublina nie występująca gdzie indziej.

Wiadomo, że w wyniku prac rewaloryzacyjnych będzie możliwe odsłonięcie ukrytych poniżej poziomu terenu fundamentów murów obronnych lub fragmentów tych murów na tyłach kamienic przy ul. Rady Delegatów. Nie stworzą one jednak optycznej przegrody między Starym a Nowym Miastem. Stare Miasto w Lublinie znajduje się w samym centrum Lublina i stanowi niezwykłą enklawę, nie znaną w żadnym innym mieście, właśnie dzięki barierze kamienic przy ul. Rady Delegatów i Królewskiej.

Jesteśmy zwolennikami śmiałych, nowoczesnych rozwiązań urbanistycznych, ale czy rzeczywiście wgłębienie trasy ulicznej u styku ulic Rady Delegatów i Królewskiej można będzie do takich rozstrzygnięć zaliczyć? Czy warto zatem ryzykować zastąpienie pewnej uznanej całości urbanistycznej zabiegiem inżynierskim o wartościach wyłącznie technicznych?

Z drugiej strony, czy i jakie są gwarancje, że i tego rodzaju usprawnienie okaże się wystarczające przy zakładanym dynamicznym wzroście liczby pojazdów mechanicznych?

Przyjęcie takiego rozwiązania może być dopuszczone jako pewnego rodzaju konieczność, ale nie należy tego łączyć z ewentualną rozbiórką stylowych domów w tym rejonie. Nie było to zresztą przewidywane w szkicu koncepcyjnym, który prezentowano w Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w 1968 r. Zaproponowana zatem przez projektantów z PKZ alternatywa powinna być zastąpiona inną.

A już niech posiadacze samochodów martwią się, jak będzie wyglądała jazda w takim trudnym do przewietrzenia tunelu i jaka będzie tam koncentracja spalin. Pewną orientację może tu dać zanieczyszczenie powietrza w letni dzień w godzinach 15—16 na Krakowskim Przedmieściu między Placem Łokietka a ulicą Osterwy.

Staremu Miastu, zgodnie zresztą z założeniami planu ogólnego, zmienia się funkcję podstawową z mieszkalnej na mieszkalno-usługową. Szansą, którą chcemy zamortyzować koszt włożony w rewaloryzację, ma być turystyka. Byle byśmy jednak nie wylali dziecka z kąpielą!

Hotele i schroniska porozrzucane po całym Starym Mieście: budynek „Centrofarmu" i Liceum Sztuk Plastycznych z Bramą Grodzką, klasztor dominikanów, pałac Pawęczkowskiego. Ale kto i jakim środkiem lokomocji dojedzie do hotelu mieszczącego się w dawnym klasztorze dominikanów? I kto zechce tam spać w dużych wieloosobowych salach, bo przecież względy konserwatorskie nie pozwolą na dzielenie pomieszczeń!

Już po zasadniczej adaptacji pałacu Czartoryskich na schronisko PTTK musiano dokonać modernizacji pomieszczeń pod kątem zakwaterowania, bo nawet młodociani turyści chcą mieszkać i spać w odpowiednich warunkach.

A może by tak przypomnieć — aktualną chyba w możliwościach staromiejskich — a zapomnianą u nas trochę formę mieszkalnictwa pensjonatowego?

W prognozach Zakładu Zagospodarowania Turystycznego GKKFiT Lublin znalazł się wśród ośmiu ośrodków w kraju — po Warszawie, Trójmieście, Szczecinie, Wrocławiu, Krakowie, Toruniu i Poznaniu — wytypowanych do najbardziej intensywnego ruchu turystycznego, jako jedyne miasto po prawej stronie Wisły.

Może już teraz trzeba by się zastanowić, jak regulować tym ruchem, który na pewno ogarnie całe Stare Miasto? Autorzy planu koncentrują natężony ruch turystyczny na trasie Brama Krakowska — Zamek. Tymczasem w świetle zacytowanych wyżej prognoz należy liczyć się z takim samym nasileniem ruchu turystycznego na wszystkich ulicach staromiejskich. Także rozmieszczenie parkingów dla ruchu dojazdowego do Starego Miasta potwierdza, że chłonąć ono będzie turystów ze wszystkich stron. Czy zatem zda egzamin zakładana rejonizacja usług?

Plan szczegółowy może przesądzić los pojedynczych obiektów na Starym Mieście, precyzując ich przeznaczenie. Wydaje się, że w tej dzielnicy powinna obowiązywać jak najdalej idąca elastyczność. W obecnej chwili nie jest możliwe wskazanie konkretnego przeznaczenia wszystkich obiektów w dzielnicy staromiejskiej.

Zarówno dla zachowania historycznych wartości układu przestrzennego, jak i dla najlepszego ich wyeksponowania należałoby przedstawić jak najszerszy zestaw propozycji programowych, by potencjalnym reflektantom zaprezentować duży wachlarz możliwości oraz po to, by w sposób aktywny sugerować najwłaściwsze rozwiązania. I chyba niezbędny jest do sprecyzowania programu odnowy Starego Miasta, dla którego tak znacznie przyśpieszono opracowanie planu zagospodarowania przestrzennego Starego Miasta. Pełny wybór różnych form użytkowania powinien obejmować przyszłe funkcje od dopuszczalnych po optymalne.

Może warto by tu wykorzystać te alternatywne propozycje, które były wysuwane przez autorów „Studium historycznego". Bardziej konsekwentnie trzeba zagospodarować Plac po Farze. Należałoby się chyba pokusić nie tylko o wyeksponowanie murów kościoła św. Michała, ale również o udostępnienie podziemi fary i wykorzystanie ich dla celów wystawienniczych (np. wystawa Lublin przedlokacyjny czy lapidarium).

Odczuwa się potrzebę związania określonej funkcji z terenem znanym przez starych lublinian pod mianem „Psiej Górki", placykiem przed pałacem Pawęczkowskiego przy ul. Rybnej. Na placu tym w okresie międzywojennym odbywał się jakby „pchli targ". Nic nie stoi na przeszkodzie, by plac ten stał się małym targiem, np. z kwiatami, owocami, wyrobami sztuki ludowej itp.

Plan ma, oczywiście, wiele zalet. Właściwie wszystko, co nie zostało tu wymienione, zasługuje na aprobatę. Mieści się w tym i zagadnienie wprowadzenia bezdymnego ogrzewania i wyeliminowanie ruchu kołowego i założenie pewnych rezerw w stosunku do planowanych funkcji i szereg innych.

Tą zaletą, którą szczególnie warto podkreślić, jest chęć utrzymania całej istniejącej zieleni, a nawet tendencja do jej zwiększenia, zwłaszcza tzw. zieleni niskiej planowanej wewnątrz bloków. Nie ma jednak przeciwskazań do sankcjonowania w większym stopniu w obrębie Starego Miasta także zieleni wysokiej.

Plan zagospodarowania Starego Miasta jest tak dobrze opracowany, że chyba tym bardziej warto jeszcze włożyć weń trochę wysiłku i usunąć niedociągnięcia.

Dobrze by było, gdyby na jego temat chcieli się wypowiedzieć, liczni przecież miłośnicy naszego miasta, ci, którym jest ono bliskie, którym nie jest obojętny jego los. Nie czekajmy, by zastąpili nas w tym inni. Gdy w 1966 r. redakcja „Kameny" w porozumieniu z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków zwróciła się do wszystkich poprzednich konserwatorów naszego województwa o zabranie głosu na temat proponowanej rewaloryzacji Starego Miasta, odpowiedział tylko jeden z nich — nieżyjący już dziś prof. dr Józef E. Dutkiewicz.

Zakładając korektę planu, trzeba by sugerować autorom jego projektu odejście od tendencji rekonstrukcji w obrębie Starego Miasta „ślicznej" średniowiecznej dzielnicy Lublina. Polskiego Carcassonne i tak z niego nie zrobimy, a możemy zaprzepaścić Lublin. Stracić wartości, które go stanowią. Poprzestańmy na uczynieniu z zaniedbanego ośrodka staromiejskiego zadbanego i uporządkowanego lubelskiego Starego Miasta. Niech Lublin zostanie Lublinem. To najzupełniej wystarczy.

Alicja Kurzątkowska

Przedwiośnie w teatrach

Maria Bechczyc-Rudnicka

CHARAKTERYZUJĄC przed rokiem na innych kartach lubelskie życie teatralne, opatrzyłam artykuł tytułem „Cztery teatry". Tym czwartym, według kolejności powstania scen w Lublinie, jest oczywiście Akademicki Teatr UMCS „Gong 2". Obchodził on właśnie niedawno dziesięciolecie swych narodzin.

Osobliwy to był Jubilat, który miast dać się prowadzić pod obadwa ramiona, hasał ci żwawo dokoła ustawionych przez scenografa drzwi-parawanów, tudzież wspinał się po drabinach karkołomnych, by rozleglejsze uzyskać na dzieje ludzkie — SPOJRZENIE. Młody Jubilat, w dodatku kolektywny, co niewątpliwie dodaje wigoru.

Z Wystawy „10 lat Teatru „Gong 2" — Warsztat — Aktor — Scenografia"
Fot. A. Polakowski

Gdy aktorzy-solenizanci, pod przewodem swego kierownika artystycznego, twórcy „Gongu" — Andrzeja Rozhina, zeszli po skończonym spektaklu z rusztowań i podestów, posypały się na nich w dniu uroczystym, wraz z kwiatami, mnogie zaszczytne nagrody. I arcysłusznie, albowiem aż dziw człowiekowi, że można mieć tyle poważnych osiągnięć w jednym dopiero dziesięcioleciu. O istotnych dokonaniach lepiej mówią fakty i liczby niż frazesy, oto trochę realiów z programu jubileuszowego:

Ponad 500 spektakli dla blisko 210 000 widzów.

Uczestnictwo w 27 festiwalach krajowych i międzynarodowych, takich jak m. in.: 16 Festival Internazionale del Teatro Universitario — Parma 1968, Festival Mondial du Théâtre Universitaire — Nancy 1969, 9 Internazionalni Festival Studenckih Kazalista — Zagreb 1969, III Festiwal Kultury Studentów Polski Ludowej w Warszawie — 1965, Międzynarodowy Festiwal, Festiwali Teatrów Studenckich — Wrocław 1967, 1969, 1971, Łódzkie Spotkania Teatralne 1965, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971.

Nagrody: Nagroda I stopnia Ministra Kultury i Sztuki za rok 1968; „Bóg Deszczu" — Grand Prix Łódzkich Spotkań Teatralnych, dwukrotnie: w r. 1967 i 1968; Nagroda za „spektakl poetycki" III Festiwalu Kultury Studentów Polski Ludowej; czterokrotnie Grand Prix Studenckiej Wiosny Teatralnej w Lublinie; I Nagroda „Fama" 1968; Grand Prix „Melpomena 69" IV Festiwalu Kultury Studentów Polski Ludowej, Kraków 1969.

Odznaczenia: Złota i Srebrna Odznaka „Zasłużony dla Uniwersytetu", Złota Odznaka „Zasłużony dla Lubelszczyzny", Złota Odznaka Zrzeszenia Studentów Polskich (które sprawuje nad Teatrem patronat).

Teatr prezentował swoje spektakle we wszystkich środowiskach akademickich kraju, nadto, poza wymienionymi już państwami — także w Związku Radzieckim i na Węgrzech.

„Gong 2" jest organizatorem Studenckich Wiosen Teatralnych w Lublinie od r. 1966.

Akademicki Teatr „Gong 2" dał 29 premier (wszystkie w reżyserii Andrzeja Rozhina). Ani jedna pozycja nie poniosła fiaska. Dużo było dobrych, wiele wybitnych, jak: „Pieśni i songi pana Brechta", „Elżbieta Bam" (rzecz futurysty rosyjskiego Daniela Charmsa), „Testament" Franciszka Villona, „Trismus" Grochowiaka, „Wietnam ukrzyżowany", „Wyznania mordercy czyli Siegfried Müller opowiada", „Laor albo posłuchajcie mandolin" wg opowiadania Stanisława Czycza. Za bardzo wybitne uważać można: „Dialog na Święto Narodzenia" i niedawno pokazywane widowisko „Każdy", które Rozhin opracował posługując się tekstami polskimi z XVI i XVII w. oraz tekstem angielskiego moralitetu „Everyman" (bo to nieprawda, jakoby po osiągnięciach Dejmka spektakl zbudowany z tekstów staropolskich musiał być wtórny).

W świetle wspomnianych tu sukcesów nie będzie ujmą dla jubilata, gdy się powie, że opinie o zaprezentowanym na premierze XXX widowisku „SPOJRZENIE Tadeusza Różewicza PRZYGOTOWANIE DO WIECZORU AUTORSKIEGO" — są podzielone. Osobiście jestem największą entuzjastką „Dialogu na Święto Narodzenia". Wydaje się, iż moment prezentacji „Spojrzenia", którego główny trzon stanowią sceny z „Kartoteki", zbiegł się niefortunnie z premierą tej sztuki w Teatrze im. J. Osterwy. Wynikła stąd rywalizacja aktorska niekorzystna dla teatru studenckiego. Myślę też, że pomiędzy poetyką spektaklu Rozhina, między frenezją jego przedstawienia a tonem twórczości Różewicza, obcej burzliwym manifestacjom, zachodzi ostry dysonans. Gwałtowny podkład dźwiękowy, jaskrawe diapozytywy, brutalne wtargnięcia filmu w tekst poetycki — lepiej spełniały zadanie w widowisku „Senator lecący i dwaj donatorzy" (debiut Marka Żenniego), potraktowanym wręcz plakatowo.

Doskonała natomiast była Wystawa „10 lat Teatru „Gong 2" — Warsztat — Aktor — Scenografia", zorganizowana w Biurze Wystaw Artystycznych wg scenariusza Leona Barańskiego, stale współpracującego z „Gongiem" w zakresie scenografii. Wystawa owa, która obok przedmiotów martwych prezentowała eksponaty „żywe" oraz łączyła elementy wizualne z audialnymi, była już sama w sobie swego rodzaju spektaklem, stając się dla poszczególnych odbiorców happeningiem.

Słowem — cześć i chwała „Gongowi" (z Andrzejem Rozhinem na czele, rzecz jasna), od początku bowiem swego istnienia inicjował on stale w Lublinie wprowadzenie do teatru nowych treści i form — czy uprawiał estradę poetycką lub kabaretową, czy epickie widowiska polityczne, czy teatr staropolski, czy inscenizacje dramatu awangardowego bądź adaptacje prozy powieściowej. A przede wszystkim dzięki za szerzenie zainteresowania teatrem w środowisku studenckim, które długo pozostawało obojętne dla sztuki teatralnej).

Teatr Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena. Henryk Jurkowski — „Tryptyk staropolski".
Fot. A. Polakowski

•

Marzec przyniósł prasową prapremierę „Tryptyku staropolskiego" Henryka Jurkowskiego na scenie P. Teatru Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena. Śliczne widowisko, wyreżyserowane przez Stanisława Ochmańskiego, oglądali m. in. z zachwytem koledzy członkowie ogólnopolskiego Klubu Krytyki Teatralnej przy SDP, przybyli do Lublina na tzw. sesję wyjazdową.

H. Jurkowski opracował scenariusz na podstawie zebranych przez siebie tekstów polskich i angielskich z XVII i XVIII w. Wstęp egzemplarza roboczego zaczyna się od komentarza, który warto przytoczyć:

Zamiarem autora jest rekonstrukcja dawnych utworów dramatycznych wystawianych w teatrze lalek. Teksty ich nie zostały zachowane. To co pozostało — to okruchy przedstawień przechowanych w tradycji ludowej. Dziś nie można ustalić, czy wywodzą się one bezpośrednio z tradycji lalkowej, czy tradycji teatru żywego aktora. Najpewniej z obu, ponieważ w wieku XVII była to tradycja wspólna. Porównanie zachowanych tekstów z szopką mówi wyraźnie o wspólnocie stylistycznej. Autor zatem czuje się upoważniony do dokonania rekonstrukcji „lalkowej".

Nowy spektakl PTLiA, przeznaczony dla dorosłych, znalazł we mnie szczególnie żywy oddźwięk dlatego, że już bodaj od r. 1945 dopominałam się tu i ówdzie o widowiska tego typu dla masowego widza ze względu na ich portatywność.

Częścią I „Tryptyku" jest opera lalkowa w jednym akcie „Judyta i Holofernes", częścią II — „Przypowieść o Synu Marnotrawnym", III — dramat ludowy „Święcie Panny Doroty". A więc mamy trzy — właściwie akty, o różnej wprawdzie tematyce, lecz połączone w nienaganną całość jednorodnością stylu. M. in. funkcję łącznika pełni z powodzeniem postać zwana Prologus, nie tylko na wstępie, ale i między aktami przywołująca kołatką uwagę publiki do „odnośnych" morałów. Boć każda część sztuki ma swoje zadanie: pierwsza składa hołd patriotyzmowi i odwadze, druga — potępia lekkomyślność i utracjuszostwo, trzecia — chwali cnotę i niezłomność niewieścią. Z dzisiejszego punktu widzenia wolno by na upartego, bez zbytniego narażenia się na kpiny, dopatrzyć się w „Tryptyku staropolskim" — akcentów aktualnych. Kolejno: 1 antymilitarystycznego w postawie Judyty, gdy podnosi miecz na „Holoferna książęcia", co „niesie zbrojne oręże dla krajów świata zajęcia"; 2. problemu ucieczki młodzieży do miast, skoro Ojciec musiał wydzielić Synowi Marnotrawnemu jego „substancją"; 3. — ale właśnie, co po trzecie? Już wiem — ostrzeżenia ... przed „rewolucją seksualną"!

Lecz mówmy już tylko poważnie.

Otóż teksty zaprezentowane w „Tryptyku" są tak dalece przyswojone staropolszczyźnie, iż wcale by się nie rozpoznało w nich ze słuchu obcych interpolacji, gdyby nie brzmienie paru imion. A staroświecka naiwność, ludowa lapidarność i dosadność „sformułowań" zawiera w sobie przebogate zasoby komizmu, które reżyser trafnie wyeksploatował w intonacjach aktorów i ruchach lalek.

A propos lalek: St. Ochmański zastosował w omawianym spektaklu, oprócz techniki klasycznie lalkowej, zmodernizowaną technikę marionetkową (w części I). Aktorzy, bynajmniej nie ukryci za parawanem, wprowadzali „postacie" w ruch ostentacyjnie manipulując dostrzegalnymi prętami metalowymi.

Niemało urody dodaje przedstawieniu przepiękna scenografia Zenobiusza Strzeleckiego: funkcjonalny, stylowy mansjon oraz lalki czy „marionetki", pojedyncze i złączone w grupy (wojsko Holofernesa, mieszczanie Betulii, sprawnie klękający w potrzebie).

Animowali „osoby" z doskonałą wprawą: Kazimierz Lutemski, Fred Kosmala, Andrzej Jóźwicki, Liliana Ochmańska, Wanda Wilhelm, Konrad Szachnowski, Kazimierz Talaj, Regina Załuska, Małgorzata Ejsmund-Lutomska. Dykcję mieli wszyscy w dialogach i śpiewie bardzo dobrą, dzięki ćwiczeniom przeprowadzonym przez Krystynę Mazur.

Stylizowane opracowanie muzyczne Stefana Sutkowskiego brzmiało ładnie, zarówno wokalne (Romana Krebsówna — konsultant, Jolanta Uźwij — korepetytor), jak instrumentalne (Magdalena Bogowska — flet prosty, Maria Dziadosz — wiolonczela, Stanisław Nizio — skrzypce, Adam Kołtyś — gitara).

•

Również w marcu powiększyło swój dorobek inscenizacyjny o nową pozycję Studio Teatralne przy Zakładach Azotowych, które zdobyło rozgłos prasowy dzięki — efektownej lokalizacji. Omawiałam niedawno pokrótce (p. nr 2 „Kameny" z rb.) dwa poprzednie spektakle czteroosobowej grupy absolwentów warszawskiej PWST, zmierzających do „uteatralnienia" puławskiego środowiska robotniczego przy pomocy awangardowych form scenicznych. Przypuszczam, iż oceny moje zyskały mi wśród zainteresowanych reputację stetryczałego zoila. Nie licząc bynajmniej na jej złagodzenie, pragnę stwierdzić obecnie, że ostatnia nowość Studia — widowisko oparte na jednym z intermediów Cervantesa, wydaje się zapowiadać dodatnią zmianę zarówno w sensie warsztatowym, jak w procederach szerzenia kultury teatralnej przez grupę młodych entuzjastów. Trafny jest przede wszystkim wybór Cervantesowego „Teatru cudów", który jak by został stworzony w przewidywaniu, iż ta czy inna trupa aktorska przyprawi go świeżymi, ostrymi ingrediencjami. Tak się też stało: nasi „puławianie" nie poskąpili inscenizacji pieprzu, octu i soli attyckiej. Spektakl jest barwny, pełen ruchu i niespodzianek, chyba coś niecoś każdy z niego odczyta, zwłaszcza z części „teatr w teatrze". Satyra na Ciemnogród, w której się młodzi nie bez kozery wyżywają, jest aż nadto komunikatywna. Zastrzeżenia miałabym jednak nadal w stosunku do uporczywej ich tendencji poglądowej, przeświecającej i tym razem w makabrycznym finale. Powiedzmy otwarcie: to szydzenie z racjonalnych układów politycznych wygląda mi — pardon! — na kabotyńskie kiwanie palcem w bucie.

Z sytuacji nieomal „antagonistycznej", jaka wytworzyła się ostatnio w Puławach, widzę — oprócz wyjść dotychczas proponowanych — jeszcze jedno: propozycję, by „Azoty" wzięły na siebie rolę bezinteresownego mecenasa teatrzyku eksperymentalnego (stać je na to finansowo), a przyjaciół dla teatru „eklektycznego" niech zdobywają wśród robotników — innymi drogami.

Marian Janusz Kawałko

Próba przebudzenia

* * *

Marii D. za pamięć

cóż jesteś winna że się we mnie ściemnia
i chłód —
jak kamień w oniemiałych dłoniach
co winna jesteś żeś rzeką
ja — ziemią
i nurt twój cichy okrada mnie z wolna
z gorących źródeł pod powieką
z mostów co jeszcze płoną
zda się — jak ołtarze
całopalenia
(a dym w oczy prosto)

cóż winna jesteś że jak zwierz wśród kniei
niepokój tropię
wciąż gotów do skoku
że listy gończe za sobą rozklejam
uszedłszy na się wydanym wyrokom

więc nocą tylko na snu próg wychodzę
gdzie czekasz jeszcze
daleka choć bliska
lecz nie po twoim błąkam się ogrodzie
i nie dla ciebie rozpalam
ognisko — — —

Motto:

„Ty co końskim kopytom użyczasz zręczności,
Ty ptakowi starych nie zmiażdżyły kości,
O Szatanie ulituj się nad moją nędzą!"

(Charles Baudelaire)

już zatrzaśnięto odrzwia mego pokolenia:
w oknach poetów straszą martwe metafory
wiersze — niby okopy
cicho tam
przytulnie
że ladacznica nawet nie zajrzy wieczorem
złodzieja nie uświadczysz
anioła
ani stróża
i słowo poza słowem
kanon bez kanonu

o! zjaw się więc szatanie pióra zapal gniewem
niechaj strofy codzienne skazańcza zapłoną
niech kain brata swego jeszcze raz rozgrzeszy
nich piotr zaprze się wiary
banita — ojczyzny
objaw duszom niepokój
karła obdarz siłą
niech się wierszem jak chlebem z bliźnim łamie
bliźni

o! szatanie ulituj się nad poetami!

Marian Janusz Kawałko pracuje w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Przemysłu Gastronomicznego w Lublinie (Oddział „Śródmieście") jako technolog żywienia człowieka, a uprzednio (w 1971 roku) ukończył studia na Wydziale Technologii Rolno-Spożywczej SGGW w Warszawie. Posiada więc fach konkretny, i choć wiersze pisuje oraz publikuje od lat kilku, ani myśli rozstać się ze swoją pracą i wkroczyć na „zawodową" drogę młodego poety, bezrobotnego i pogniewanego na rzeczywistość, a czasem nawet brodatego.

Urodził się 25 III 1947 roku we wsi Rybie (pow. Chełm Lubelski). Liceum Ogólnokształcące ukończył w Rejowcu. Debiutował w roku 1964 w „Głosie Młodzieży". Drukował wiersze w „Poezji", „Współczesności", „Kierunkach", „Zarzewiu", „Kamenie" oraz w „Kulturze i Życiu" (dodatku do „Sztandaru Ludu"). Zdobywał laury na studenckich konkursach poezji w Poznaniu, Konkursie Małych Form Literackich, konkursach im. Czechowicza i Śpiewaka. Działa w Kole Młodych przy Oddziale ZLP w Lublinie. Ma złożony tomik wierszy w Wydawnictwie Lubelskim oraz zakwalifikowane utwory do „Almanachu Młodych" wydawanego przez „Iskry".

W swojej poezji rozpoczynał, jak wielu przed nim, od poetyckiego opisu wiejskich pejzaży. Obecnie koncentruje się raczej na ogólniejszej lirycznej refleksji nad światem.

MP

Lekcja metafizyki

Kazimierz Rosiński

Do poczekalni wchodzili coraz to nowi ludzie. Niektórzy z nich wydawali mi się znajomi. Nie przybliżaliśmy się jednak do siebie. Młoda dama w różowym futrze poprosiła o ogień. Mój sąsiad mnie uprzedził. Po czym uchyliwszy kapelusza, powiedział: przepraszam — z bezczelnym uśmieszkiem. Bawiłem się obracaniem pierścienia na palcu.

Wreszcie wyszedł do nas wielki mężczyzna w kamizelce.

— Czy to już wszyscy? — spytał.

Nikt z nas nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Milcząc spoglądaliśmy jeden na drugiego.

— Zaczekamy jeszcze chwilę — powiedział mężczyzna. Wetknął po dwa palce obu rąk do dwu kieszeni kamizelki i czekał z odrzuconą do tyłu głową. Podziwu godna była jego odporność na mróz. Tak, bo na dworze był mróz trzydziestostopniowy, a w poczekalni okna miały niekompletne szyby i drzwi się nie domykały.

— Jeśli można wiedzieć, na kogo czekamy? — spytał ktoś.

— Nie można wiedzieć — powiedział mężczyzna w kamizelce.

Niektórzy dreptali w miejscu. Inni zacierali ręce. Ktoś jęknął:

— O Boże, odmroziłem sobie uszy!

— Niech panie nie dotyka, bo odpadną!

Jedynie dama zachowała pogodę ducha.

— Czyżby to miał być czyściec? — spytała.

— Skądinąd wiem, że grożą nam raczej ogniem. Jasny chłód opromienia niebo.

Chociaż nikt więcej nie przyszedł, mężczyzna odstąpił od drzwi i pozwolił nam wejść. Kazał zdjąć wierzchnie okrycia i zawiesić je na wieszaku. Znowu ubiegł mnie ten szelma. Wyjął cygaro z ust, ukłonił się i odsłonił potężne, arystokratyczne zęby. Po czym z namaszczeniem zawiesił futro pięknej damy.

Zajęliśmy miejsca w ławkach. Zrazu nie odczuwaliśmy chłodu, lecz już po chwili okazało się, że i w tej sali jest zimno, co prawda cieplej, niż w przedpokoju, ale niewiele.

Człowiek w kamizelce odszedł od nas. Coraz więcej osób zaczynało głośno wyrażać swoje niezadowolenie. Ostatecznie, przyszliśmy tu z własnej woli, z własnego obowiązku, który mogliśmy pominąć zupełnie bezkarnie. Tak uczciwe intencje należałoby wykorzystać, a oni zrażają nas tylko. Teraz już wiemy, dlaczego nikt z nas nie jest tu po raz drugi!

Nikt jednak nie zdobył się na to, by stamtąd odejść. Znowu pojawił się mężczyzna w kamizelce.

— Proszę nie rysować pulpitów! — krzyknął i rozejrzał się po sali. (Co za pomysł upominać dorosłych ludzi, by nie ryli na pulpitach!) — Pan profesor będzie za chwilę gotów. Proszę nie hałasować!

— Za chwilę! Co to znaczy za chwilę?

— Cisza!

Teraz powstrzymywała nas ciekawość. Warto zadać sobie trochę trudu, by zobaczyć, co dalej.

Czekaliśmy krótko. Znowu pojawił się woźny. Poprowadził nas po schodach na trzecie piętro. I znowu przedpokój. A dalej drzwi zamykane na sztabę, jakby do magazynu. Woźny uchylił je, wetknął głowę w szparę i powiedział obrzydliwie przypochlebiającym głosem:

— Panie profesorze, uczniowie są już w przedpokoju.

— Wprowadzić! Ale w jakimś porządku. Ostatnio była to orda tatarska.

— Wchodzić pojedynczo. Zachowywać się cicho. Miejsca zajmować kolejno od okna — zarządził woźny.

Pierwsza wchodziła nasza dama. Starałem się wejść drugi, by zająć miejsce przy niej. Ale ustawiłem się niezręcznie i woźny brutalnie szarpnął mnie do tyłu. Wszedłem ostatni.

Była to obszerna izba zastawiona krzesłami półkołem otaczającym łóżko, na którym w wielkim tłoku pierzyn i poduch leżał jakiś mężczyzna. Widzieliśmy tylko twarz i ramiona. Twarz czerwona i masywna, ręce bardzo silne. Na głowie miał wełnianą szlafmycę.

W głębi krzątała się maleńka kobieta. Doglądała kuchni, na której gotowało się coś w kilku garnkach. Po zapachu rozpoznawałem krupnik i kapustę.

Mężczyzna w kamizelce stał przy drzwiach.

— Na co czekasz, Józefie? — spytał leżący i mężczyzna w kamizelce dyskretnie wymknął się z izby.

Z największą ostrożnością zajęliśmy kolejno miejsca. Siedzieliśmy bez ruchu czekając, co dalej. Lekcja nie zapowiadała się zbyt przyjemnie. Ale każde z nas miało tę świadomość, że w każdej chwili może stąd wyjść. Trochę nas niepokoiło wspomnienie sztaby z drugiej strony drzwi i domyślaliśmy się, że ten atleta w kamizelce stoi w przedpokoju.

— Na poprzedniej lekcji mówiłem wam o Aniołach — zaczął leżący. Zdumieni spojrzeliśmy po sobie. Nikt jednak nie odważył się cokolwiek powiedzieć. — Mówiłem o istotach prawie doskonałych do was, nadętych pychą, pokracznych, ziemnych pełzaków.

Ktoś chrząknął. Ten ton nas zaskoczył. Nie po to tu przyszliśmy, by usłyszeć słowa pogardy z ust jakiegoś obłąkańca.

— Spokój! — krzyknął profesor.

— Proszę pana profesora — wtrącił mój sąsiad — uczono mnie już kiedyś o Aniołach. Ale, choć byłem bardzo młody, sugerowano mi, że są to twory symboliczne, że treść tej historii jest w głębi, a nie na powierzchni.

W czasie, gdy mój sąsiad mówił, profesor sięgnął pod łóżko i wdobył stamtąd laskę. Przez chwilę bawił się nią, rozciągał i składał, bo była to laska składana. Wreszcie powiedział:

— Oto dowód, jak jesteś pyszny. Oto dowód, jak jesteś bezczelny. Bowiem przerwałeś mi i przechwalasz się swoim rozumem, tą śmieszną sztuczką potomków małp.

Rzeczywiście, niepotrzebnie mu przerywał. Nie przyszliśmy tu — żeby gadać, ale żeby wysłuchać lekcji. Jednak ten nietakt nie tłumaczy w absolutnie żaden sposób tego, co stało się po chwili. Profesor zupełnie niespodziewanie schwycił laską głowę mojego sąsiada i przyciągnął go do siebie. Porwany nie miał sposobu, by się obronić. Krzesło z wielkim hałasem upadło. Profesor zręcznym ruchem uchwycił i naderwał mu ucho. Po czym odepchnął od siebie.

Większość z nas wstała z miejsc. Wtedy w drzwiach pojawił się ów mężczyzna w kamizelce. Obrzydliwie przymilnym głosem spytał:

— Czy jestem panu profesorowi potrzebny?

— Nie, radzę sobie doskonale.

I człowiek ten zniknął za drzwiami. My zaś staliśmy niezdecydowani, co o tym sądzić, ani co robić w tej sytuacji, aż profesor nakazał nam siadać. Mój sąsiad najpierw był bardzo czerwony, potem pobladł i począł się trząść, ale potrafił się opanować. Siedział bardzo sztywno. Z naderwanego ucha sączył się strumyczek krwi. Współczułem mu tym serdeczniej, że sam nie wiedziałem, co mnie spotka. Profesor bawił się laską.

— Zdaje mi się, że niezbyt uważnie wysłuchaliście mojej poprzedniej lekcji. Zaczniemy więc od krótkiej powtórki.

Wszyscy pobledliśmy. Profesor końcem laski wskazał na mnie.

Poderwałem się z miejsca.

— Kim są Aniołowie? — spytał.

— Aniołowie to... — zacząłem. Boże, kim są ci Aniołowie?, myślałem. — Aniołów stworzył Pan Bóg.

— Po co?

— Nie wiem. Skąd ja mogę wiedzieć po co? Skąd ja mogę znać przyczyny postępowania Pana Boga?

Tłumaczyłem się coraz rozpaczliwiej. I nagle coś potężnie szarpnęło mnie za kark. Zwaliłem się na łóżko. W oka mgnieniu coś urwało mi ucho i zanim dobrze to sobie uświadomiłem, ta sama potężna siła odepchnęła mnie na miejsce. Opadłem na krzesło. Ucho było tylko naderwane. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że wyłem straszliwie, w tym oka mgnieniu.

Chyba w drzwiach pojawił się ów atleta, bo profesor machnął ręką i zirytowany wrzasnął:

— Nie, durniu skończony! Sam sobie doskonale radzę.

Kobiecina spod kuchni zerknęła w moją stronę. Ten pyszczek starej owcy jakby uśmiechnął się do mnie.

— Quasi modo geniti infantes — powiedział profesor po łacinie. — Oblecujący masz głosik. Jeszcze tylko uważniej wysłuchuj lekcji, a może coś z ciebie wyrośnie.

Było to ohydne poniżenie. Moi współtowarzysze uśmiechali się ironicznie, być może nie dlatego, że mnie to spotkało, lecz dlatego, że krzyczałem przy tym jak nowo narodzone dziecię. Jeszcze był jeden powód mojego przygnębienia, po tym, co się stało, dama nie będzie chciała na mnie spojrzeć.

— Okazuje się, że jest znacznie gorzej, niż przypuszczałem. Kto z was da zwięzłą i mądrą odpowiedź na pytanie, kim są Aniołowie?

Nikt się nie odezwał. Wszyscy spuścili oczy. Tylko ja mogłem być spokojny. Nie doczekawszy się ochotnika, profesor sam wskazał ofiarę.

— No, śmiało. Powiedz, synku.

Wskazany poderwał się z miejsca. Obłędnym wzrokiem rozejrzał się, jakby szukając pomocy. Nagle rzucił się do ucieczki. Runął na drzwi, ale drzwi były zamknięte. Chwilę mocował się z klamką, wreszcie zupełnie załamany odwrócił się do nas.

— Nie denerwuj się. Pomyśl i odpowiedz — uspokajał go profesor.

Wtedy szczęśliwy, jak dotychczas, adorator naszej damy zaprotestował:

— Nikt z nas nie był na poprzedniej lekcji. To jest skandal. Profesor wie, że jesteśmy tu po raz pierwszy!

— Dlaczego, durniu, przemawiasz w imieniu wszystkich?

Chwilę patrzyli sobie w oczy. Oczywiście, było to nierozsądne ze strony tego gentlemana. Profesor wydawał się absolutnie odporny na takie piorunowanie wzrokiem. Chwilę tylko przyciągnął spojrzenie swojej ofiary, po to, by zająć jej uwagę. Schwycił go laską. Błyskawicznie przyciągnął do siebie. W oka mgnieniu dokonał karcącego zabiegu i odrzucił precz.

Cieplutki strumyczek krwi stoczył się za mój kołnierz. Skarcony usiadł i poprawił krawat. Sprawiał wrażenie człowieka, starającego się bezskutecznie pozbierać myśli. Profesor znowu zwrócił się do stojącego przy drzwiach. Zachęcając go do mówienia wyciągał laskę. Zrobiła się już wystarczająco długa, by dosięgnąć tego nieszczęśnika. I on to zauważył. Nagle rzucił się na okno. Staranował ramy wraz z szybami i wypadł na zewnątrz.

Dama, która siedziała najbliżej okna, wyjrzała na ulicę.

— Upadł na głowę — powiedziała. — Leży bez ruchu.

— Trzeba się bronić — ktoś krzyknął, ale zaraz został skarcony.

W takiej sytuacji należało się ująć za ręce i dopiero wtedy podejść do tego okrutnika. My atakowaliśmy pojedynczo. Profesor łatwo radził sobie z nami. Naderwał mi drugie ucho, chociaż ja trzymałem się raczej z boku. Zapomnieliśmy też o woźnym, który gdy tylko usłyszał hałas, wszedł. Powstrzymywał atakujących i karcił ich uszczypnięciem w policzek. Szczypał tak mocno, że krew tryskała między jego palcami. Zaatakowani z dwóch stron niedługo walczyliśmy. Ktoś krzyknął, by skakać przez okno. Było to jedyne honorowe wyjście. Kilku zdobyło się na to. Ale pozostała jeszcze spora grupka.

Usiedliśmy pokornie. Woźny wyszedł do przedpokoju. Profesor zwrócił się do naszej damy:

— To ty wywołałaś to skandaliczne zamieszanie. Podejdź do mnie.

W oczach damy pokazały się łzy. Nie ruszyła się z miejsca. Wobec tego profesor zmuszony był przyciągnąć ją do siebie laską. Upadła na pościel. Zobaczyliśmy jej żółte majteczki. Później ogłuszył nas straszliwy pisk. Trochę mi to ulżyło. Wspólne nieszczęście przybliża ludzi do siebie.

— Za to, moje dziecko, zmyjesz podłogę. Magdaleno — zwrócił się do kucharki — daj jej szmatę i kubeł.

Przez okno wpadał mroźny wiatr. Dygotaliśmy z zimna. Profesor podciągnął pierzynę pod brodę.

— Najpierw powtórzę wam treść poprzedniej lekcji, a później przepytam. — Aniołowie są to duchy, które mają rozum i wolną wolę, ale ciała nie mają. Pan Bóg stworzył Aniołów dla chwały swojej, dla ich własnego szczęścia.

Mówił to z zamkniętymi oczami. Ja starałem się zapamiętać każde słowo. Ktoś koło mnie szepnął: jeśli się dobrze skoczy, można się uratować. Ale nie starałem się zastanawiać nad tymi słowami.

Profesor zamilkł na moment. Po czym powtórzył ostatnie zdanie i otworzył oczy. Spoglądał tylko na mnie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że pozostali uczniowie zniknęli, nawet nasza dama pohańbiona kubłem i ścierką.

— No, synku, powtórz teraz.

Powtórzyłem.

— Bardzo ładnie — pochwalił mnie profesor. — Prawda, że to proste?

Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie, a nawet serdecznie. Laskę położył pod łóżko.

— Jesteś na najlepszej drodze do zrozumienia tego szczęścia, które daje istnienie, a którego tak bardzo świadomi są Aniołowie. A teraz idź już do domu. Na następnej lekcji opowiem o człowieku.

Prawo wśród bezprawia

Henryk Nowogródzki

Był to czas okupacji, krematoriów i kacetów. Proszę czytelnika, aby nie przerwał czytania, bo dość o martyrologii. Proszę o to zwłaszcza czytelnika młodego, któremu szczęściem nie dane było żyć w tym czasie poniżenia i bezprawia. Właśnie bezprawia. Prawo zostało powalone, zepchnięte na dno dołów i rowów, w których grzebano pomordowanych, prawo zostało zniweczone w wymiarze dotychczas nie znanym dziejom ludzkości. Krwawym dziejom.

Ale oto prawo wcisnęło się do obozowego baraku. Domagało się zadośćuczynienia. W kącie baraku — po apelu — odbywał się sąd. Sędziowie, którzy niegdyś nosili togi, teraz w pasiakach czynili sprawiedliwość. W pasiakach stawali przed trybunałem rzecznicy stron. „Strony", obozowe hoeftlingi, przystrojeni w pasiaki jak ich sędziowie, wiedli spór.

— Do kogo należy ta złota moneta? Do kogo?

Znajdowała się ukryta w obcasie, a obcas, jak wiadomo, stanowi ważny element butów. W bucie tym odbywał swą ostatnią drogę nikomu już nie znany więzień kacetu. Gdy padł bez życia, ściągnięto mu z nóg buty, które rzucono na piętrzący się kopiec pantofli, kamaszy, sandałów, kaloszy. A wtedy inny więzień — miał jeszcze żyć przez niedługi czas, a chodził tylko w onucach — wydobył ze sterty parę bucików, które nosił nikomu już nie znany, przeznaczony na mydło człowiek. Pasowały. Włożył je i szedł drogą swego nieznanego poprzednika ku znanemu przeznaczeniu. I wtedy właśnie obcas się oderwał i więzień zaniósł but do obozowego więźnia-szewca, aby obcas przybił... Gdy szewc wziął się do roboty i jął mocować obcas, spod skórki kamasza wysunęła się złota moneta.

Obaj więźniowie jednocześnie starali się ją pochwycić. Szewc był szybszy. I oto teraz stali przed trybunałem w pasiakach i wiedli spór.

Do kogo należy złota moneta? Do właściciela buta czy do znalazcy?

— Jaki on właściciel? — twierdził szewc. — Przecież nawet nie wiedział o „swej" własności. Jak można być właścicielem czegoś, o czym się zgoła nie wie! Właściciel nie jest znany. Przemienił się w smugę czarnego dymu, który buchnął z krematoryjnego komina. Ja jestem znalazcą, moneta należy do mnie.

Pełnomocnicy stron sięgali do przeróżnych prawniczych argumentów. Casus wydał się ciekawy. Za oknami baraku trwała okupacyjna noc, rozświetlana latarkami ss-mańskich strażników i przecinana ostrym blaskiem reflektorów zawieszonych wysoko nad drutami. Jeszcze jedna noc bezprawia, wśród której juryści w pasiakach czynić chcieli sprawiedliwość.

Sąd udał się na naradę. Odbywała się szeptem. Tajemnica sali narad — w kącie za pryczą — została zapewniona i zachowana.

Strony w napięciu oczekiwały ogłoszenia wyroku.

Z sąsiedniego baraku dobiegał ściszony dźwięk skrzypiec. Jakie to hitlerowskie biesy pozwoliły skrzypkowi przebyć drogę do obozu ze skrzypcami w czarnym futerale? Muzyka i swastyka! Jakiż to muzykalny ss-man pozwalał skrzypkowi na nocną grę pośród prycz w zawszonym baraku?

Co to za dźwięki? Bach. Fuga. Hitlerowski strażnik kazał zakończyć grę. — No, odłóż swoje skrzypce do futerału. Futerał to trumna dla skrzypiec. Ale ty — zarechotał — nie będziesz miał nawet trumny.

Sędziowie nie powrócili jeszcze z narady. Wydobywali z pamięci przepisy prawa, paragrafy.

— Wiecie — zamyślił się jeden z sędziów-więźniów. — Wiecie § w swoim kształcie jest zbliżony do wiolinowego klucza. Tutaj nawet Bach pojawia się i znika na podstawie bezprawnego rozkazu. Co my robimy? Rozstrzygamy jakiś irracjonalny spór w irracjonalnych wymiarach, to szaleństwo.

— Nie, nie macie racji, szanowny kolego — replikował drugi sędzia, używając dawnego języka i stylu dziwacznego wśród ujadania psów, które właśnie spuszczono do pełnienia patrolowej służby. — Nie macie racji, ci ludzie i tutaj chcą prawa. To wielka rzecz dać im prawo pośród bezprawia.

I znów potoczyła się narada o prawie znalazcy od odkrytego skarbu. Padło łacińskie sformułowanie: tessaurus — skarb.

Po północy ogłoszono wyrok. Był to wyrok salomonowy. Moneta ma być podzielona w równych częściach jej wartości pomiędzy stronami! Ale jakże ten wyrok wykonać? Pozostać ma owa moneta, znaleziona w zdartym obcasie, u znalazcy, który po odzyskaniu wolności połowę jej wartości zwróci swemu przeciwnikowi.

Wyrok — tak nierealny, że aż dziwaczny — spełnił swą wielką rolę. Przeciwnicy w tym niezwykłym procesie uwierzyli w życie...

Gdy o świcie komanda cieni szły do niewolniczej pracy, oczy wszystkich spoczerały na kopiec butów, bucików, pantofli, kaloszy, kamaszy, sandałów. Może jeszcze w jakimś oderwanym obcasie błyśnie złoto...

Nikt już nie znalazł.

Wieczorem — w baraku — muzyk wyjmował z czarnego pudła swoje skrzypce. Grał „Chaconnę" Bacha i na rozkaz kończył, odkładając instrument do trumny futerału.

W oczach zasypiających ciężko więźniów paragraf i klucz wiolinowy splatały się w monstrualny kształt swastyki.

Był to sen więźniów Majdanka.

Sto obowiązków na jednym piętrze

W ROKU akademickim 1971/72 Wyższe Studium Nauczycielskie przy UMCS w Lublinie przyjęło pierwszych słuchaczy; jest ich obecnie 300 na studiach stacjonarnych, kierunki zaoczne zostaną uruchomione w roku przyszłym. O aktualnej sytuacji i perspektywach WSN rozmawiamy z rektorem uczelni, doc. dr. Karolem Poznańskim, specjalistą w zakresie historii oświaty i wychowania.

— *Panie Rektorze, czym różni się WSN od dawnego Studium Nauczycielskiego?*

— Różnica ta ma charakter jakościowy. WSN jest wyższą szkołą zawodową kształcącą na poziomie studiów uniwersyteckich I stopnia. Posiada zatem odpowiednio szeroki program nauczania, realizowany głównie przez pracowników naukowo-dydaktycznych UMCS. Przygotowujemy absolwentów do pracy w szkolnictwie podstawowym, z tym, że dyplom WSN otwiera drogę do dalszych studiów, finalizowanych uzyskaniem magisterium. W Lublinie dwuletnie studia magisterskie otwieramy za dwa lata, tj. po opuszczeniu uczelni przez pierwszych absolwentów.

Fot. CAF

— *Jakie specjalności są aktualnie czynne na WSN?*

— W tym roku przyjęliśmy słuchaczy na następujące kierunki: matematykę z fizyką; język rosyjski; wychowanie muzyczne; nauczanie początkowe z zajęciami praktyczno-technicznymi; nauczanie początkowe z wychowaniem muzycznym; nauczanie początkowe z wychowaniem plastycznym; zajęcia praktyczno-techniczne z fizyką. Łącząc nauczanie początkowe z innymi specjalizacjami, kierowaliśmy się koniecznością dokonania prawidłowej selekcji kandydatów na studia oraz pragnieniem umożliwienia absolwentom zatrudnienia w pełnym wymiarze godzin: ktoś, kto posiada dwie specjalizacje, nie musi się obawiać, że nie otrzyma pełnego etatu w szkole.

— *Kogo zamierzacie przyjmować na studia zaoczne?*

— Wyłącznie absolwentów Studiów Nauczycielskich, pracujących w szkolnictwie. Po czterdzieści osób przyjmiemy na filologię rosyjską, matematykę, fizykę, zajęcia praktyczno-techniczne, nauczanie początkowe oraz wychowanie plastyczne; na tej ostatniej specjalizacji przewidujemy 30 słuchaczy. Nauka będzie trwała trzy semestry. Ponadto otworzymy trzyletnie zaoczne studia dla absolwentek liceów pedagogicznych wychowawczyń przedszkoli, kształcące w zakresie wychowania przedszkolnego.

— *Czy dyplomanci wszystkich specjalizacji WSN będą mogli uzyskiwać magisterium w Lublinie?*

— Poza wychowaniem plastycznym i muzycznym — tak. Studia magisterskie w zakresie wychowania plastycznego będą czynne tylko przy Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, a muzycznego — przy Państwowych Wyższych Szkołach Muzycznych. Czas ich trwania ustalono na dwa lata.

— *Panie Rektorze, nie jest tajemnicą, że niektóre przedmioty traktowane są w szkołach jako „michałki", owszem, przewidziane programem nauczania, ale nie tak znów ważne, przynajmniej w odczuciu kierownictwa...*

— Niestety, ma pan rację, lecz o takim traktowaniu decydują momenty obiektywne, choć na pewno nie tylko one. Ale np. brak kadry w zakresie zajęć praktyczno-technicznych, które mają zbliżać młodzież do techniki, do rozumienia procesów technologicznych, ujemnie wpływa na poziom nauczania tego przedmiotu. Jestem przekonany, że nasi absolwenci w istotny sposób zmienią tę sytuację. W tej specjalności mamy dobrych, doświadczonych wykładowców i przyzwoite zaplecze techniczne. Wielkie też znaczenie przykładamy do wychowania plastycznego, które decyduje o właściwym rozwoju wrażliwości estetycznej ucznia; w przyszłym roku otwieramy studia dzienne w tej specjalizacji.

— *Czy brak w Lublinie wyższej szkoły muzycznej nie stwarza kłopotów kadrowo-dydaktycznych na wychowaniu muzycznym WSN?*

— W żadnym wypadku. Współpracujemy z dwudziestoma muzykami — absolwentami wyższych szkół muzycznych, a ścisłe kontakty z Filharmonią Lubelską przynoszą niebagatelne korzyści. Dzięki dyrektorowi Natankowi nasi słuchacze mają wolny wstęp na wszelkie koncerty i imprezy wokalno-muzyczne, organizowane przez tę placówkę, mogą uczestniczyć w próbach, prawdę mówiąc mogą się czuć w Filharmonii jak u siebie w domu. Władze UMCS zapewniły nam podstawowy sprzęt muzyczny, kupując m.in. dziewięć pianin, akordeony, gitary etc. Nasza płytoteka, aczkolwiek kompletowana od podstaw, liczy już 300 płyt stereofonicznych o standardzie światowym, biblioteka również wygląda zasobnie. Cały nasz księgozbiór, jeśli już potrąciliśmy o ten temat, liczy ok. 60 tysięcy tomów.

— *Ciasnawo tu przecież...*

— Władze UMCS gorliwie troszczą się o zapewnienie nam możliwie dobrych warunków materialno-kadrowych, lecz pozostaje jeszcze do rozwiązania trudny problem sytuacji lokalowej WSN. Obecnie zajmujemy jedną kondygnację w gmachu przy ul. Narutowicza, już teraz ledwo się tu mieścimy, a co będzie w przyszłym roku, kiedy liczba słuchaczy — zgodnie z planem — osiągnie 500 osób? UMCS nie posiada żadnych rezerw lokalowych, a nowy gmach WSN ma powstać dopiero w latach 1975—1976. Przyznam, że niepokoi mnie ta sytuacja, która na pewno niezbyt korzystnie wpłynie na sam proces dydaktyczny.

— *Na jakiej zasadzie ustalane są limity przyjęć do WSN?*

— Planujemy je w ścisłym porozumieniu z Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie, podobnie zresztą, jak zakres i charakter specjalizacji. Kuratorium szczególnie akcentuje potrzebę dalszego rozwijania studiów zaocznych. Pragnę podkreślić, że podstawą tego planowania są realne — obecne i przyszłe — potrzeby szkolnictwa.

— *Dziękując za rozmowę życzę szybkiego rozwiązania kłopotów lokalowych lubelskiego WSN.*

Rozmawiał: **I. J. Kamiński**

---

okolice sztuki

Spotkanie z Krzysztofem Zarębskim

KRZYSZTOF Zarębski jest absolwentem Wydziału Malarstwa warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, o czym świadczą: dyplom ukończenia uczelni (z wyróżnieniem) oraz jego pierwsze obrazy, bliskie młodej, polskiej figuracji, dramatycznie komentującej świat w tonacji Bacona. W 1968 roku, kiedy to Zarębski opuścił ASP, młodzi malarze masowo opowiedzieli się po stronie tej stylistyki, nie zawsze wiedząc dlaczego i po co. Był to w gruncie rzeczy gest spontanicznego przeciwstawienia się malarstwu starszych poprzedników, próba samookreślenia się przy pomocy innych środków artystycznych, których przyjęciu nie zawsze towarzyszyła świadomość ideowych motywacji. Sam przecież fakt spojrzenia na świat z odmiennych pozycji budzi szacunek, nawet gdy ogranicza się do perspektywy gdzie indziej wykreślonej, sformułowanej w obrębie innej sytuacji społeczno-kulturowej. Zresztą, gdyby spojrzeć na sprawę szerzej i głębiej, to i w naszej tradycji sztuki najnowszej można by znaleźć zapowiedzi nowej figuracji — już w pierwszych latach sześćdziesiątych.

Obrazy Zarębskiego, pokazane w marcu w salach lubelskiego BWA, pochodzą z ostatnich dwóch lat i wcale nie przypominają o uczelnianym rodowodzie autora, są również odległe od jego pierwszych prac eksponowanych m. in. w Helsinkach, ich istota zaledwie mieści się w granicach malarstwa. Brzmi to niewiarygodnie, bo przecież mamy do czynienia z malowanymi prostokątami, na których widnieją fragmenty przedmiotów, wizerunki etc., podane w ostrych kolorach zestawionych na reklamowej zasadzie czystości informacyjnej i mocnego uderzenia. Działają w podobny sposób: mocno i krótko, tych obrazów nie można smakować, kontemplować, na próżno szuka się w nich bardziej złożonych treści, niosących autorskie przesłanie do widza. Chcąc rozbudować ich wizualną atrakcyjność, Zarębski wiesza w pewnej odległości od prostokątów fioletowe i różowe filtry, przez które można spoglądać na obrazy, już inne kolorystycznie — zgodnie z regułami optyki. I właśnie ta zmienność obrazowych wizerunków najbardziej wpływa na wyobraźnię odbiorcy, proponując mu przygodę niemal poetycką. Jest to jednak przygoda krótkotrwała, tylko zmysłowa, choć i taki jej rodzaj na pewno niejednego usatysfakcjonuje.

Fragment happeningu Krzysztofa Zarębskiego „Kwiaty" Fot. Z. Rytka

W gruncie rzeczy obrazy Krzysztofa Zarębskiego wydają mi się wizualnym pretekstem do spotkania się autora z ludźmi. Może ktoś wytknie mi naiwność widzenia tej twórczości i jej mechanizmów pozaartystycznych, twierdząc przy tym, że przecież każde działanie artystyczne ma na celu społeczne uzewnętrznienie się twórczej indywidualności... Zgoda taki jest cel generalny, ale w przypadku Zarębskiego nie wyobrażam sobie jego wystawy bez wernisażu, bez spotkania publiczności z autorem. To spotkanie jest sprawą najważniejszą, ale to spotkanie nie byłoby możliwe bez owego pretekstu, który stwarza artysta. I w tym chyba mieści się głęboki sens bycia dziś artystą: powodowanie bezinteresownych spotkań ludzi, którzy na co dzień chadzają własnymi drogami, myśląc jakby tu załatwić to i owo, jakby tu załatwić kogoś. Istnieje jednak jeden warunek, który trzeba honorować dla dobra tych spotkań: pretekst — obraz, działania — nie może być banalny, jego zamysł nie może pochodzić z trzeciej ręki. Obrazy Zarębskiego spełniają ten warunek, ta młoda twórczość nie posiada w zasadzie precedensów, aczkolwiek w moim odczuciu jest nieco za u l o t n a.

Zresztą Zarębski zdaje się odczuwać niedosyt płynący z uprawiania samego malarstwa, pojmowanego jako forma społecznej obecności. Z okazji happeningu „Kwiaty", urządzonego w 1971 roku w jednym z warszawskich klubów Ligi Kobiet, napisał w dokumentacyjnej składance: „Działanie artystyczne zmieniające się w czasie i nie posiadające ostatecznej formy silniej pobudza wyobraźnię i angażuje wzrokowo niż przedmiot (obraz, rzeźba itd.). Nie lubię specjalizacji. Twórczość ograniczona do jednego gatunku nie może istnieć. Akt artystyczny jest godniejszy uwagi niż jego rezultat. Akcja, która miała tu miejsce, była moim malarstwem dziejącym się poza płótnem, wzbogaconym o trzeci wymiar. Szukam porozumienia z ludźmi, więc muszę z nimi przebywać. Nie wystarczy moja fizytówka".

Jeśli z tego programu Krzysztof Zarębski wyciągnie wszystkie konsekwencje, przydatne w twórczej działalności, da nam szansę uczestnictwa w s p o t k a n i a c h o istotnej wartości humanistycznej. Warto przy tym pamiętać, że Zarębski dysponuje czymś szczególnie cennym i nieczęsto dziś spotykanym w młodej sztuce: samoświadomością twórczą.

Krzysztof Zarębski brał udział w 22 wystawach, m. in. w galeriach „Współczesnej", „10", „Kordegardzie" w Warszawie, w galerii „El" w Elblągu... Miał wystawy indywidualne. Urodził się w 1939 r. w Warszawie, gdzie mieszka do dziś.

IJK

---

z bocznej trybuny

Na cienkich nitkach...

NA łamach prasy ciągle rozważania o Sapporo. Komentatorzy światowej prasy sportowej omawiają znaczenie dyskwalifikacji Karla Schranza, świetnego narciarza austriackiego za czerpanie korzyści materialnych ze sportu. Avery Brundage — 84-letni milioner amerykański, ongi reprezentant USA, obecnie prezes Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, po podjęciu decyzji o dyskwalifikacji został potępiony niemal powszechnie za konserwatyzm. Lecz już dziś przyszedł czas na refleksje. Przecież ktoś musi bronić czystości idei olimpijskich! Rzecz, niestety, w tym, iż ów rześki i ruchliwy starszy pan (z tytułu wieku właściwie staruszek), dyskwalifikując Schranza, nie odniósł żadnego sukcesu. Odnosząc zwycięstwo w jednej bitwie, przyznał się mimowoli, że przegrywa wojnę.

Kamena str. 10

Schranza wykluczono z Igrzysk. Czy jednak był on jedynym czerpiącym korzyści z uprawiania sportu na wysokim poziomie wyczynowym? Gdyby Brundage chciał wykluczyć innych, mniej i więcej winnych, być może w Sapporo nie bardzo miałby kto startować. A czy bokserzy, piłkarze, lekkoatleci, kolarze, pływacy, jeźdźcy i inni, którzy zjadą z różnych stron świata do Monachium na igrzyska letnie, będą naprawdę stuprocentowymi amatorami? Mało kto chyba w to wierzy.

Współczesny sport wysokiego wyczynu wymaga olbrzymiego wysiłku i samozaparcia, nie pozwala na normalne życie rodzinne, rozrywki, dysponowanie swoją osobą. Zawodnik żąda więc za to nie tylko wynagrodzenia, jak za normalną pracę (ewentualnie wciągnięcia go na listę uposażeń w przedsiębiorstwie, w którym faktycznie nie pracuje), nie tylko stworzenia lepszych warunków bytowych, koniecznych przy takim wysiłku, ale także zupełnie dodatkowych apanaży, które pozwolą mu zapewnić sobie przynajmniej częściowo byt na przyszłe lata, gdy rozstanie się już ze sportem. Mało jest takich, którzy byliby chętni tylko dla sławy pocić się po wiele godzin dziennie na treningu i raz czy dwa razy w tygodniu dawać z siebie wszystko na zawodach.

Od czystego amatorstwa oderwał się dziś nawet sport średniego szczebla. Wymaga pieniędzy i to coraz więcej, bo wraz z poziomem wyczynu w skali międzynarodowej rośnie poziom wyczynu średniego. A nic nie odbywa się za darmo.

Posłużmy się przykładem lokalnym. Klub sportowy „Lublinianka", który niedawno obchodził swe pięćdziesięciolecie, przed laty kilkunastu składał się z jedenastu sekcji. W chwili obecnej sekcji tych jest tylko siedem. Przyczyną likwidacji były względy finansowe. Józef Wiśniewski, sekretarz klubu, zwierzał mi się, że najwięcej kłopotów sprawia mu nie którakolwiek z sekcji, nie organizowanie jakichś poważnych zawodów, lecz stały niedostatek pieniędzy. Koszta utrzymania klubu zwiększają się nieustannie, wraz z wprowadzaniem nowocześniejszego sprzętu, nowocześniejszych urządzeń na stadionie, wreszcie z koniecznością podwyższania płac pracownikom klubu, które muszą być dostosowane mniej więcej do płac ludzi zatrudnionych w innych dziedzinach. „Lublinianka" zatrudnia 38 osób, z czego 22 trenerów i instruktorów na etatach, półetatach, ryczałtach i zleceniach. Najwięcej wydatków pociąga za sobą koszykówka, choć co prawda daje ona też największe wpływy. Inne sekcje, ze względu na niższy poziom, mniej wnoszą do kasy klubu. Nawet boks jest deficytowy. Nawet piłka nożna, przy obecnej słabej frekwencji publiczności. Bilety wstępu są u nas zresztą tańsze niż w innych miastach. Lublin zaliczono do strefy B. Bilet na koszykówkę kosztuje 15 zł, gdy w strefie A — 25 lub 30 zł. Tymczasem koszta „Lublinianki" związane z wyjazdami na zawody są wyższe, niż koszta drużyn ze strefy A, np. z Warszawy, mających wszędzie bliżej. No, ale co w tym wypadku złe jest dla „Lublinianki", dobre jest dla kibiców.

Osobną sprawą jest znalezienie pracy zarobkowej zawodnikom. Dziś już nieliczne tylko zakłady pracy godzą się na angażowanie sportowców. Wiadomo bowiem, że takich trzeba będzie zwalniać na treningi i na zawody. Klub pokrywa wprawdzie należność za to, lecz przedsiębiorca, goniony planami, chce mieć pracownika przy warsztacie. Wyjątkowo tylko jakiś zagorzały dyrektor-kibic upchnie gdzieś swego pupilka. Dopiero wtedy, gdy sportowiec posiada wysokie kwalifikacje zawodowe, poszukiwane na rynku pracy (np. inżynier — elektronik), znajduje sobie łatwo zatrudnienie. Jednak zwalnianie go kosztuje klub, z uwagi na wysokość gaży, dużo więcej niż zwalnianie sportowca pracującego na niskim stanowisku. Jeden z bokserów „Lublinianki", zresztą należący do czołówki krajowej, sprawiał swemu klubowi olbrzymie kłopoty wychowawcze, wszedł nawet w konflikt z prawem; zwrócono nań baczniejszą uwagę, chłopak wziął się w garść, zdał maturę, egzamin na studia wieczorowe i jednocześnie zaczął szukać pracy. Tu dopiero zaczęły się kłopoty. Zdawać by się mogło, że dobry sportowiec, przy tym studiujący i chcący w miarę możliwości pracować, to wzór. Ale temu wzorowi nikt nie kwapił się dać etatu. Naturalnie nie mają problemów z zatrudnieniem zawodnicy klubów przyfabrycznych; lecz w klubach ogólnomiejskich, jak „Lublinianka", jest to bolączka olbrzymia.

Im wyższej klasy zawodnik, tym więcej czasu musi poświęcić na trening. Czy Schranz mógłby być Schranzem, pracując 8 godzin na dobę? U nas sportowcom pomaga — w imię wyższych racji — kasa społeczna. Firma prywatna pomagająca Schranzowi chciała mieć z tego jakieś korzyści. Być może to było nie do zrozumienia dla przewodniczącego MKOL. Lecz rozumiał, że czystość amatorska światowego sportu wisi na cienkich nitkach, i że coraz to któraś z nich pęka.

RW

MOJE LEKTURY

Polskie losy Conrada

KAŻDY czytelnik ma „swojego" Conrada. Ma go też chyba każdy badacz i interpretator. Kim innym był autor „Lorda Jima" dla Polaków przed I wojną światową, kiedy spotkał się Conrad nawet z zarzutami o zdradę, kim innym dla pokoleń późniejszych. Orzeszkowa w głośnym artykule wyraziła się o Conradzie: *ten pan, który po angielsku pisuje powieści poczytne i opłacające się wybornie*, zaś Maria Dąbrowska napisała: *Według mojego rozumienia, Conrad jest w dziedzinie prozy powieściowej tym, czym był Szekspir w dramacie.* Można przyjąć, iż między dwoma biegunami (niekoniecznie w układzie, który wynikałby z zacytowanych opinii dwóch pisarek polskich) znajdowała się większość polskich wypowiedzi o Conradzie.

Pytań stawiano wiele: dlaczego Konrad Korzeniowski wyjechał z Polski, dlaczego do niej po 1918 roku nie powrócił? Był zdrajcą czy uczciwym Polakiem? Czy ważniejszy był wpływ na Conrada jego ojca — pisarza i gorącego patrioty, czy wuja Bobrowskiego, przeciwnika powstania 1863 r.? Czy dla oceny dzieł Conrada ważniejszy jest kontekst polskiej literatury czy angielskiej, romantycznej czy też realistycznej? I kim był naprawdę Conrad — romantykiem czy pozytywistą? Te przykładowe pytania wybrałem z książki Stefana Zabierowskiego „Conrad w Polsce", książki bardzo potrzebnej, ponieważ dokonuje ona nie tylko przeglądu i oceny dorobku polskiej conradystyki, lecz wskazuje obszary wymagające dalszego jeszcze badania. Zabierowski bowiem nie tylko rejestruje fakty, ale nieustannie konfrontuje różne stanowiska, zajmuje wobec nich własną pozycję. Co ważniejsze — korzysta często z osiągnięć conradystyki światowej i ten właśnie szeroki kontekst jest dla czytelnika bardzo przydatny, a badaczowi wystawia dobre świadectwo. Zresztą co do tego wypowiadać się będą bardziej ode mnie powołani.

Książka Zabierowskiego stanowi skróconą wersję rozprawy obszerniejszej. Być może to okrojenie powoduje pewne jej niedostatki. Wartka i zręczna relacja opinii krytycznych osiąga bowiem niekiedy nadmierną zwięzłość, zwłaszcza gdy autor wygłasza jakiś sąd wartościujący, wówczas oczekuje się bogatszej egzemplifikacji. Sądzę, że dzięki temu jeszcze bardziej stałaby się książka do czytania.

W wydrukowanej wersji dał Zabierowski obraz recepcji Josepha Conrada przez polską krytykę literacką w latach 1896—1961. Autor odstąpił od chronologicznego omawiania kolejnych wystąpień na rzecz ujmowania ich w pewne skupiska problemowe, których przykłady zasygnalizowałem poprzednio. Zyskała na tym przejrzystość książki i jej czytelność. Zabierowski pokazał, jak generalnie przebiegała recepcja Conrada, wskazał, jak bardzo zależała ona od epoki i przynależności krytyków do określonych obozów i od ich własnych postaw. Interesująco pokazał istnienie modelu romantycznego, według którego ujmowali pisarza m. in. Żeromski, Ujejski i Dąbrowska. Rzecznicy takiego widzenia wskazywali na związek Conrada z kresami, na jego martyrologię i jego rodziny w powstaniu i na zesłaniu, wyjazd z Polski odczytywano jako bunt wobec otoczenia, a emigracja i szukanie możliwości działania dla Polski gdzie indziej łączyły Conrada z tradycją wielkich romantyków. W modelu „pozytywistycznym" rozkład akcentów wyglądał inaczej, wydobywano momenty przeciwne do tamtych. Za rzeczników takiej koncepcji Conrada Zabierowski uznaje przede wszystkim R. Jabłkowską i S. Helsztyńskiego.

Autor „Conrada w Polsce" stwierdza, iż dorobek polskiej conradystyki nie jest imponujący i wygląda ubogo na tle conradystyki światowej, choć ostatnie lata przynoszą tu widoczną odmianę. W dorobku tym przeważają szkice, artykuły i przyczynki, mało znajduje się książek i gruntowniejszych opracowań. Znamienna jest jednak ewolucja naszej conradystyki: od spraw biografii pisarza przechodzi ona coraz bardziej do badania jego twórczości, do jej rozważania. Bo dzisiejsza conradystyka przyjęła niejako do wiadomości to, co o sobie mówił autor „Korsarza": *Dwie rzeczy napełniają mnie dumą, że ja* P o l a k *j e s t e m k a p i t a n e m a n g i e l s k i e j m a r y n a r k i i ż e n i e ź l e p o t r a f i ę p i s a ć p o a n g i e l s k u.* I jeszcze: *Angielscy krytycy — wszak istotnie jestem pisarzem angielskim — mówiąc o mnie, zawsze dodają, że jest we mnie coś niezrozumiałego, niepojętego, nieuchwytnego. (...)* T o p o l s k o ś ć.

Zabierowski niemal zupełnie pominął recepcję poszczególnych utworów Conrada, uczynił to zresztą świadomie; że świetnie się i w tej materii orientuje, świadczą jego obszerne prace o recepcji „Lorda Jima" w Polsce, drukowane w wydawnictwach naukowych. Ciekawą bowiem jest rzeczą, dlaczego w danym momencie Conrad był pisarzem szczególnie aktualnym. Tak np. znamienna była poczytność, jaką właśnie „Lord Jim" cieszył się w latach okupacji. Człowiek wówczas, podobnie jak bohaterowie Conrada, *miał* — cytuję Zabierowskiego — *niejednokrotnie do wyboru klęskę, która była moralnym zwycięstwem, lub ocalenie, ale za cenę moralnej porażki.* Można to stwierdzenie poprzeć wypowiedzią J. J. Szczepańskiego: *Dla nas Conrad był aktualny jak nigdy przedtem. Jego książki stały się zbiorem praktycznych recept dla ludzi toczących bój samotnie i w ciemności.*

Otwiera się tu nowe zagadnienie, którego autor książki nie dotknął: czy i jak oddziaływał Conrad na polskich pisarzy, na ich postawy i sztukę? Znowu twórczość związana z doświadczeniem wojennym stanowiłaby tu chyba najciekawszy materiał. Szkoda też, że Zabierowski nie pokazał, jak „sprawa Conrada" odbiła się w poezji polskiej. Jest to wątek dosyć obszerny, w książce ledwie wspomniany, a przecież przyległy do wytyczonej dziedziny badania. I jeszcze jedna pretensja do książki: zawiera ona sporo cytatów w języku angielskim, należało jednocześnie podawać ich polskie przekłady, tak postępują wydawnictwa ściśle naukowe. A przecież omawiana książka ma adres znacznie szerszy.

Zamknijmy jednak te uwagi słowami uznania dla Wydawnictwa Morskiego, które książkę ładnie wydało. Zaś informacje na „skrzydełku" świadczą, iż praca Zabierowskiego jest jedną z całej serii książek poświęconych Conradowi; to piękne zamierzenie wychodzi naprzeciw zapotrzebowaniu jakże licznych i wiernych zwolenników twórczości autora „Smugi cienia."

Tadeusz Kłak

Stefan Zabierowski: Conrad w Polsce. Gdańsk 1971. Wydawnictwo Morskie.

Krzyżówka nr 8

Poniższe 55 nazwisk pisarzy, poetów i publicystów rosyjskich wpisać do diagramu krzyżówki. Litery z ponumerowanych kratek dadzą dodatkowe rozwiązanie, które należy podać jako rozwiązanie całego zadania.

Wyrazy 13-literowe

CZERNYSZEWSKI

12-literowe:

SERAFIMOWICZ

11-literowe:

MEREŻKOWSKI
POMIAŁOWSKI
REŚZETNIKOW

10-literowe:

ANTOKOLSKI
CHLEBNIKOW
KRUCZENYCH

9-literowe:

GONCZAROW
ISAKOWSKI
KOROLENKO
LERMONTOW
ŁAWRENIEW
MAŁYSZKIN
SZOŁOCHOW

8-literowe:

AKSIONOW
DUDINCEW
FONWIZIN
GROSSMAN
JESIENIN
KARAMZIN
KAWIERIN
SWIETŁOW
WASILJEW
WIESIOŁY
ŻUKOWSKI

7-literowe:

KATAJEW
NOWIKOW
OGARIOW
PILNIAK
POGODIN
POLEWOJ
SEWITOW
SIMONOW
TOŁSTOJ
TRENIEW

6-literowe:

AŻAJEW
FIEDIN
IWANOW
KRYŁOW
KUPRIN
LEONOW
LESKOW
MAJKOW
PANOWA
SIOMIN

5-literowe:

BABEL
BUNIN
GOGOL
GORKI
ILJIN
INBER

4-literowe:

BŁOK
FIET

3-literowe:

BEK

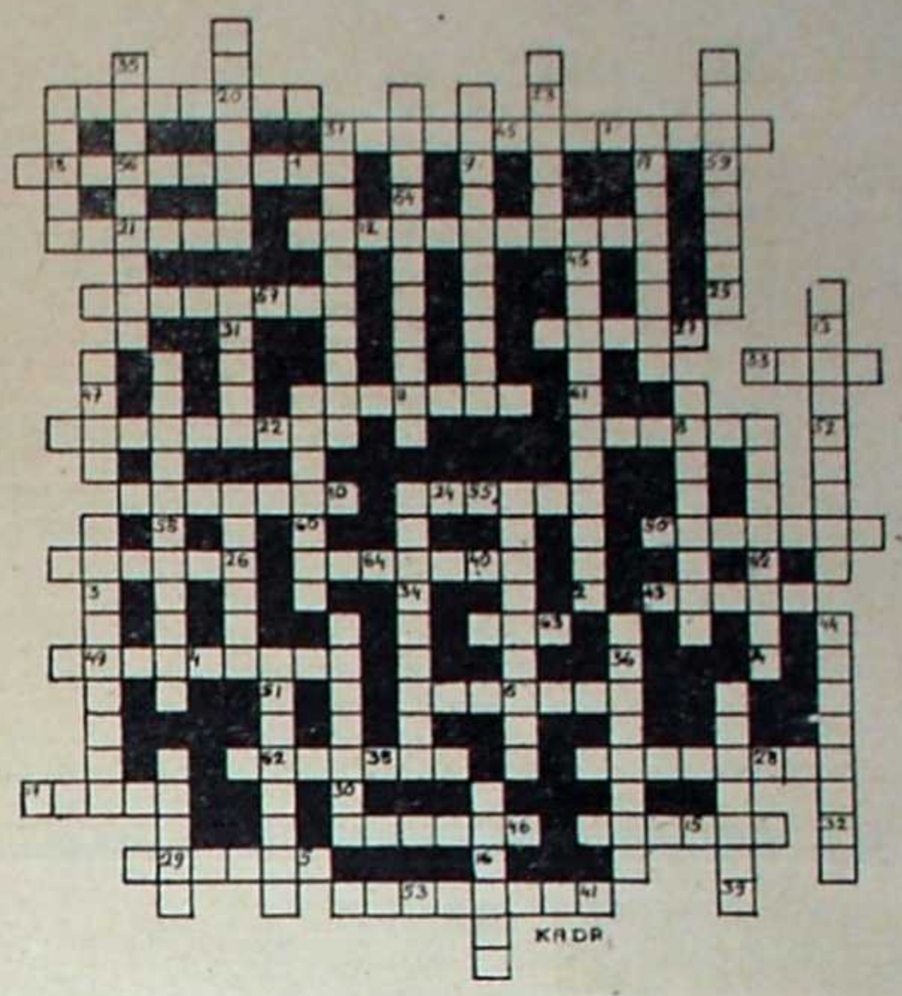

Rozwiązanie krzyżówki-szyfru nr 6

„Do Kobiety". Wobec tego że nie odróżniam chwil od wieków a mędrca od błazna bardzo proszę cię wieczna kobieto bądź mi przyjazna jestem poetą". Julian Tuwim. Kobieta jest jak dament — nieoszlifowana nie świeci.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki-szyfru nr 6 nagrody otrzymują:

Maria Szkiarczyk, Włodawa, Szpital Powiatowy, Irena Wardzichowska, Radom, ul. Kolejowa 22/12, Witold Skorupski, Warszawa, ul. Świerczewskiego 129/131 m. 91, Maria Ćwikło, Kalwaria Zebrzydowska, Błażkówka 1, pow. Wadowice.

Listy do KAMENY

„Krótsza droga do mieszkania"

Czy rzeczywiście droga do mieszkania będzie krótsza? Wydaje mi się, że red. Jerzy Dostatni jest zbytnim optymistą („Kamena nr 5). Rzeczywiście budowaliśmy coraz więcej, a mimo to potrzeby również rosły. Wydaje mi się, że sytuacja w najbliższej przyszłości niewiele się zmieni. Wcale nie podnoszą mnie na duchu optymistyczne wypowiedzi, że plan jest wyższy o 5 tys. izb, zaś budowlani obiecują dodatkowe mieszkania. Rok temu zająłem miejsce w długiej kolejce, nawet nie znam terminu otrzymania mieszkania. Umowa ze spółdzielnią określa go dość mgliście, po roku 1975, co ja oceniam na rok 1977. Perspektywa niewesoła. Na karku 24 lata i zupełny brak mieszkania! Mogę chyba tak mówić, bo 5 lat temu „za chlebem" wyjechałem do jednego z województw zachodnich, gdzie szanse są nieco większe, ale ja nie chcę tu zostać.

Nie zgodzę się ze stwierdzeniem, że ponad połowę mieszkańców Lublina ma problem mieszkań rozwiązany. Mieszkania, które budowaliśmy dotąd, nie są apartamentami oglądanymi jakże często w amerykańskich filmach z lat 30-tych (w TV). Tam, gdzie zaspokajały one w pełni potrzeby mieszkańców przed kilku laty, dziś, a jeśli nie dziś to jutro okaże się, że mieszkania te są również zagęszczone. Widzę to na przykładzie moim i mojej rodziny czy znajomych. Zgodzę się, że są to mieszkania na ogół dobrze wyposażone.

Mamy też w Lublinie dużo domów starych, które już dziś niejednokrotnie kwalifikują się do rozbiórki. Wprawdzie staramy się przedłużyć żywotność tych domów, ale czy nie należałoby poważnie zastanowić się nad celowością tego rodzaju remontów? Inwestujemy pokaźne kwoty zwłaszcza tam, gdzie mieszkania te przystosowuje się do wymogów dzisiejszego życia, zaś korzyści są niewspółmiernie małe. Nadbudowa jednego czy dwóch pięter też nie wydaje mi się rozwiązaniem godnym upowszechnienia. Czy nie lepiej byłoby, korzystając z tego, że nasze przedsiębiorstwa budowlane mają ku temu możliwości, wyburzyć te zawalidrogi i w środku miasta załatwić jednocześnie z problemem terenów uzbrojonych problem deficytowej komunikacji i szereg innych, związanych z ochroną terenów rolnych itp? Czy to nie lepsze od kilku lat spokoju, po których pojawi się problem ruder? Inna sprawa, że często tuż po wykwaterowaniu z piwnicy czy poddasza jednej rodziny wprowadza się na jej miejsce druga. Czas chyba zarzucić stosowanie półśrodków i wziąć się do przemyślanego, kompleksowego działania.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Doceniam to, co się w tym kierunku robi, ale może uda się jeszcze więcej?

W pewnym sensie pomogą nam wszystkim ci, którzy będą budować domki jednorodzinne, ale najpoważniejsze zadania stoją bez wątpienia przed spółdzielniami mieszkaniowymi.

Dziwię się trochę, że dla olbrzymiej większości nowe zasady przydziału mieszkań są słuszne. Nie neguję ich słuszności, tym bardziej, że dostrzegam w tym jakąś szansę dla siebie. Wydaje mi się jednak, że wszyscy zainteresowani liczą na to, że właśnie oni będą tymi, którzy przełamią dotychczasowy system, ci zaś, którzy mają znośne warunki, będą mocno narzekać i też nie można im odmówić pewnych racji.

Poza tym część nadwyżek budowanych mieszkań pochłoną „potrzeby ZMS". Ile? Nie szafujmy zbytnio obietnicami, tylko dokładnie liczmy. Wszyscy razem i każdy z osobna. Chciałbym np. wiedzieć czy wyłączając patronat (pracując stale w terenie nie mam w tym kierunku żadnych możliwości) i inne szczęśliwe przypadki, mogę liczyć na mieszkanie w roku 1976.

Wiesław Kołodziej
Lublin

Koźmian - poeta zapomniany

Ogrodzony starym zardzewiałym płotkiem niknącym wśród dostojnych pomników, już pewnie zapomniany, wtulił się w pobliże cmentarnej kapliczki grób głośnego niegdyś poety, autora licznych poematów z „Ziemiaństwem" na czele — Kajetana Koźmiana. Cmentarz parafialny w Bychawce jest jego ostatnią i wieczną przystanią. Cementową czy może kamienną płytę pokryła gruba warstwa mchu, uniemożliwiająca prawie odczytanie nazwiska. Dwa tylko słowa są na płycie: Kajetan Koźmian.

Dawny zawzięty przeciwnik Mickiewicza i całej poezji romantycznej miał swe posiadłości i zamieszkiwał w lubelskiej ziemi w obecnym powiecie bychawskim. Urodził się w Gałęzowie. Tradycja miejscowa mówi, że dworek zajmowany do niedawna przez szkołę podstawową był własnością poety. Pamięć Koźmianów jest tu jeszcze żywa. Ostatnie lata życia spędził autor „Ziemiaństwa" w Piotrowicach, bliżej Lublina. I piotrowicki dworek — obecna siedziba Państwowego Ośrodka Maszynowego — przetrwał do dziś. Jest typowym przykładem starych szlacheckich dworków parterowych lub piętrowych, z niskim gankiem wspartym na prostych przysadzistych kolumnach.

Nie przeszedł wprawdzie Koźmian do historii literatury jako gwiazda pierwszej wielkości, jednak w swoim czasie był postacią głośną i znaną w Rzeczypospolitej, a zwłaszcza na Lubelszczyźnie, z którą był najściślej związany. Nie ma podręcznika literatury polskiej, który by nazwisko to pomijał. A i sam Lublin zawdzięcza mu utrwalenie wielu ciekawych szczegółów z końca wieku XVIII i początków XIX. Koźmianowskie pamiętniki, barwne, potoczyste, mogą zainteresować niejednego miłośnika naszej przeszłości.

Z okazji przypadającej w bieżącym roku dwusetnej rocznicy urodzin poety warto przypomnieć szerzej jego sylwetkę oraz miejsce w naszej literaturze. Mógłby uczynić to ktoś z naukowców zajmujących się przeszłością literacką Lublina i Lubelszczyzny.

Leon Karłowicz
Pszczela Wola

„To też wiek XX"

W nr 5 „Kameny" zamieszczono garść informacji pt. „To też wiek XX". Zaczynały się one notatką „Dzieci w tropikach". Zastanawiające było tam przede wszystkim jedno zdanie: „Na dużą śmiertelność ma wpływ niedorozwinięta służba zdrowia; w krajach tropikalnych jeden lekarz przypada na 30 tysięcy, a nawet na 70 tysięcy (!) mieszkańców (w krajach uprzemysłowionych na 500—1000 mieszkańców)."

Wypada tylko współczuć mieszkańcom krajów uprzemysłowionych: tylu niedorozwiniętych lekarzy! A ilu ich musi być na całym świecie! A swoją drogą służba zdrowia ma prawo się obrazić. W artykule W. Bugaja „Nie pytaj komu bije dzwon" znajdujemy najtragiczniejszą (jak słusznie to autor zauważył) formę egzystencjalną „sein zum Todt". Jest ona tym tragiczniejsza, że zawiera w sobie błąd (po niemiecku śmierć — der Tod, więc powinno być sein zum Tod). No cóż, fakt udowodniony. Polacy niezbyt dbają o wykształcenie lingwistyczne.

Mimo tych uwag bardzo cenię „Kamenę" i z niecierpliwością oczekuję kolejnego numeru. Może tym razem redaktorzy tego sympatycznego pisma będą bardziej uważni.

Jolanta Janowska
Warszawa

„Beze mnie"

Podpisuję się pod błyskotliwym felietonem Ijona, zamieszczonym w 2 numerze „Kameny". Walki byków, których nie widziałem, polowania, które miałem możność oglądać — wszystkie te krwawe zabawy człowieka są dla mnie jednakowo obrzydliwe i dziwię się, na równi z autorem felietonu, że publicysta „Polityki" próbuje zneutralizować niechęć naszego społeczeństwa do corridy. Wiem jednakże, że protesty ludzi pokroju Ijona są w gruncie rzeczy bezskutecznym użalaniem się starego humanisty, wychowanego na kulcie Wielkiego Człowieka. Niestety, człowiek to nie tylko Beethoven, ale również i kilku innych panów, całkiem zręcznie strzelających do bezbronnych ludzi — po co sięgać w odległą historię, wystarczy poczytać o Wietnamie, aby się o tym przekonać. A wydaje mi się przy tym, że człowiek, jako gatunek, nigdy nie wyzbędzie się okrutnych skłonności, jako że leżą one w jego naturze. Można je tylko sublimować, stwarzać ujście za pośrednictwem form nie tak drastycznych, ale tylko tyle. Sublimacja ma jednak pewne granice i nie można oczekiwać, aby instynkt agresji i zniszczenia realizował się bez reszty przy partii szachów na przykład, czy przy pieleniu ogródka. Smutne to, lecz prawdziwe. Przy okazji proszę o pozostawienie w spokoju Hemingway'a, którego nie wolno dyskredytować jako człowieka tylko dlatego, że lubił corridę, a tym bardziej nie wolno go dyskredytować jako pisarza. Gdyby pójść tropem Ijona, należałoby wykreślić z literatury niejedną wybitną postać — bo jeden męczył pliszki, drugi był de Sadem, trzeci — jak Turgieniew! — lubił polowania, czwarty zaś — jak Dostojewski — nie lubił pewnych nacji. Na Hemingway'u wychowało się pokolenie, do którego należę, i sens książek tego pisarza kojarzy się w mojej świadomości przede wszystkim z męstwem, a nie z łatwym zabijaniem zwierząt czy ludzi. Poza tym literatura, największa, eksponuje m.in. tkwiące w człowieku i społeczeństwie dążenia pogmatwane i mroczne.

Adam Chojnacki
Warszawa

Nie taki smutek

Chochlik pograsował w recenzji T. Kłaka z książki Tadeusza Bocheńskiego (6 numer „Kameny"). Oczywiście tytuł omawianej książki brzmi: „Smutek triumfalny".

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

L.ZGraf. Zam. 310. 22.III.72. 10.911. B-3

Sztuka Czesława Kiełbasińskiego

W LUTYM czynna była w Pałacu Sztuki w Krakowie wystawa malarstwa Czesława Kiełbasińskiego. Artysta, urodzony w 1908 r. w Zamościu, jest związany silnymi więzami uczuciowymi z rodzinnym regionem, czego wyrazem jest szereg obrazów, a zwłaszcza pejzaży z terenu Zamojszczyzny, jak również typów ludzkich z tamtych stron. Kiełbasiński rozpoczął studia malarskie w 1928 roku, ale wskutek związania się z ugrupowaniem „Rogate Serce" zmuszony został do zaniechania studiów w ASP. Dyplom tej uczelni otrzymał dopiero w 1956 roku. Pod wpływem Stanisława Szukalskiego artysta stworzył szereg kompozycji rysunkowych oraz rzeźb, które również zostały pokazane na wystawie.

Kiełbasiński w ciągu swej przeszło 40-letniej działalności artystycznej, wystawiał obrazy w wielu miastach Polski. W twórczości przyjął postawę realistyczną. Malował krajobrazy, portrety, martwe natury, wnętrza i kompozycje. Szczególnie interesowały go motywy chłopskie, w których artysta nawiązywał do wspomnień dzieciństwa, spędzonego w gospodarstwie ojca koło Zamościa. Wśród obrazów wystawionych w krakowskim Pałacu Sztuki, a poświęconych motywom z Zamojszczyzny, należy wymienić przede wszystkim: „Podwórko z kurami", „Pejzaż z domkami", „Podwórze z psem", „Drzewa w słońcu" itd. Na wystawie zwracają też uwagę portrety pisarzy: Jana Bolesława Ożoga i Jacka Stwory.

Ryszard Dzieszyński

Głowa ojca — rzeźba

minuta myślenia

Ziewanie z miłości

PODNOSZĄCA się w społeczeństwie kultura literacka (setki i tysiące wierszy zasługujących na druk, a nie drukowanych tylko przez brak miejsca w pismach) każe ze zdumieniem przyjąć zjawisko grafomanii. Grafomanii aktywnej, grafomanii cierpliwej, grafomanii ufnej w swe przyszłe powodzenie (a może tylko nie dostrzegającej różnicy w stosunku do poprawnego pisarstwa).

Jak wytłumaczyć tę masę wierszy napisanych nie tylko bez najmniejszej siły oddziaływania na odbiorcę, ale również z rozbrajającą nieporadnością wobec wymagań stylistyki, składni i elementarnych prawideł gramatycznych?

Co chce powiedzieć młody człowiek wikłający się wśród zwrotów tak banalnych i zużytych, że najwyklejsze „wszystkiego najlepszego", lub „wpadnę za tydzień" wydaje się szczytem inwencji i odkrywczości? Trudno powiedzieć. Przecież pobieżny rzut oka na literacką prasę powinien młodego grafomana zorientować odnośnie tego, jak i co i po co się dzisiaj pisze wiersze, a przynajmniej zniechęcić do zrealizowania podjętego pisarskiego zamiaru. Jeśli zaś ani się nie zorientował, ani nie zniechęcił, to znaczy, że początkujący grafoman żadnych rezultatów z czytania literackiej prasy nie zalicza, lub w ogóle jej nie czytuje.

Skąd więc zarażenie bakcylem poetyckim? Skąd to przekonanie, że właśnie należy ująć pióro i w słowach uformowanych stroficznie (przeważa konwencja klasyczna) przelać bezmiar doznania? Oto konflikt numer jeden: potrzeba lirycznej wypowiedzi wynika z pewnej kultury literackiej, której się nie nabywa bez kontaktu z literackimi publikacjami, tymczasem elementarny grafoman nie czytując odczuwa potrzebę pisania. Skąd się wzięła? Raczej powinien odczuwać lekceważenie dla zajęcia, którego arkana, jak się okazuje, łatwiej opanować niż umiejętność gry na elektrycznej gitarze, czy naprawy tranzystorowego radia. Dalej: nie wiedząc, co się dzisiaj dzieje w poezji (nie tylko współczesnej), grafoman jako jedyny znany sobie autor powinien uważać się za wielkość bezkonkurencyjną, skąd więc ta skromność, która każe mu w korespondencji z redaktorem używać wyrazów sumitacji, a nie kategorycznych żądań? Jeśli jestem tak wspaniały, że bez żadnych studiów, bez najmniejszej nawet orientacji odnośnie tego, co w ogóle zaobserwować można w dziedzinie moich zainteresowań, tworzę poezję, to należy mi się powiększona fotografia z facsimile autografu na pierwszej stronie i co najmniej kolumna druku wewnątrz każdego numeru każdego pisma.

Sytuacja nabiera cech humorystycznych, kiedy dochodzi do bezpośredniej konfrontacji grafomana z redaktorem. I jeden i drugi to na ogół ludzie przestrzegający elementarnych zasad dobrego tonu (acz nie bez wyjątków) dlatego ingerencja MO nie bywa konieczna, ale wymiana zdań domaga się niekiedy taśmy magnetofonowej. Przez co? Przez absolutny brak porozumienia. Grafomanowi nie da wytłumaczyć, że napisał grafomański utwór, bo gdyby to rozumiał, nie byłoby utworu, a więc i rozmowy. Usterek wiersza nie można wykazać, tak jak wykazuje się wadliwość mechanicznego zatrzasku czy nie piszącego wiecznego pióra. Skutek? W dziewięciu wypadkach na dziesięć grafoman odchodzi w przekonaniu: „I to ma być redaktor? Wiersza nie wydrukuje, ale w czym jest zły, tego absolutnie nie jest w stanie powiedzieć. Znawca!". I nic dziwnego, że nie zamierza niczego zmieniać w swej praktyce. Bo z całej wymiany zdań zrozumiał tylko tyle, że należy czytać. Ot, wielka mi rada.

Czymże jest więc dziś grafomaństwo poetyckie? Owa naiwna, pokraczna stylistycznie, wtórna do zatraty gędźba o wiosennym skowronku, jesiennym deszczu i matczynej miłości na tle elementów cywilizacji wymagających przecież współczesnego stosunku do świata?

Skąd ten łapeć z kory brzozowej przy coraz wymyślniejszym (i coraz mniej praktycznym) kształcie dzisiejszych lakierów? Trudno powiedzieć. Przyznać jednak trzeba, że jest grafomaństwo, mimo całej swej dokuczliwości, również momentem wytchnienia dla redaktorów tonących w szarej przeciętności otrzymywanych tekstów poetyckich. Nie, nie przez wiarę w „naiwną, ale szczerą naturę ludzką", Przez wartość całkiem konkretną, nie wymagającą aż tak humanistycznych określeń i taryfy ulgowej: przez element humoru. Mimowolnego, niemniej jednak działającego niezawodnie.

„Wróć do mnie, ja się nie gniewam,
ponieważ ciebie kocham.
Siedzę samotny i zlewam,
a kiedy sobie ciebie przypomnę,
to szlocham".

Ijon

falsetem

I ja tam byłem...

KURIER LUBELSKI jak zwykle pełen skromności, przemilczał swą na pół wewnętrzną uroczystość, związaną z 15-leciem założenia pisma. Przyszły kronikarz, gdy przyjdzie mu odtwarzać historię popularnej popołudniówki, może się znaleźć w trudnej sytuacji: zabraknie mu ważnego ogniwa. Niniejszy tekst ma więc za zadanie wypełnienie tej luki.

(Od specjalnego wysłannika KAMENY)

(Tel. wł.) 24 marca 1972 roku odbyła się w Domu Prasy w Kazimierzu Dolnym (m. w pow. puławskim; 4,3 tys. mieszk. [1967]; ośr. turystyczno-wypoczynkowy; muzeum; malowniczy zespół zabytków — M.E.P.) nad Wisłą (największa rzeka Polski; dł. 1068 km, pow. dorzecza 193 911 km kw. — M.E.P.) niecodzienna libacja (łac. libatio. 1. uczta, pijatyka. 2. w starożytności — zwyczaj wylewania paru kropel napoju na ofiarę bogom — Słownik wyrazów obcych PWN) z okazji jubileuszu (śrdw. łac. [annus] iubilaeus — [rok] jubileuszowy — S.w.o. PWN) 15-lecia ukazania się pierwszego numeru pisma. Obok oficjeli (p. — łac. officialis — urzędowy. 1. hist. a) urzędnik w zaborze austriackim; b) sługa niższych urzędników municypalnych w staroż. Rzymie; niekiedy także: wyższy urzędnik cesarski piastujący ważny urząd; 2. rel. w Kościele katolickim — duchowny urzędnik przy biskupie, sprawujący w jego imieniu kościelną władzę sędziowską i przewodniczący w sądach kurialnych — S.w.o PWN), przedstawiciele zaprzyjaźnionych pism krajowych (w tym i KAMENY) zjawili się niemal w komplecie (nie zauważyliśmy np. red. Nowaka) dziennikarze i personel (fr. personnel — zespół pracowników w biurze, instytucji, sklepie itp. — S.w.o. PWN) administracyjny (przymiotnik, utworzony od rzeczownika administracja — łac. administratio, 1. ogół czynności zarządzania, 2. ogół organów zajmujących się zarządzaniem — S.w.o. PWN) w otoczeniu żon lub mężów. Zachwycała kreacja (tu: strój, ubranie odznaczające się oryginalnością, dobrym smakiem, elegancją — S.w.o. PWN) niektórych pań (jedna z nich, p. A. B., zmieniła ją w czasie libacji dwukrotnie), tudzież menu przygotowane przez znakomitą kuchnię Domu Prasy (kierownik p. Erwin Stanek, troskliwy brodacz o ujmującym spojrzeniu). Owo menu (fr., potrawy składające się na dany posiłek — S.w.o. PWN) składało się z trzech zasadniczych części: zakąski (kiełbasa, szynka, jajeczka w sosie tatarskim, śledziki itp.), barszczyk z paluszkami, kaczka z jabłkami, a ponadto kawa i ciastka. Ponieważ porcje kaczki były znacznie poważniejsze od tych, które serwuje nam „Europa", można się spodziewać, że plan zużytkowania kaczek dziennikarskich „Kurier" wykonał na następnych lat piętnaście. Na marginesie warto dodać, że kaczka dziennikarska, odpowiednio przyrządzona i podana, niczym szczególnym nie różni się od kaczki zwykłej. Może jest tylko nieco smaczniejsza.

Z trunków konsumowano jedynie wódkę żytnią (!). Redaktor naczelny „Kuriera", zgodnie z nowym lubelskim obyczajem w tym względzie, zapowiedział w słowie wstępnym, że nadmiaru alkoholu (do słownika wyrazów obcych nie ma już sensu zaglądać) nie będzie. Praktycznym uwidocznieniem tego był fakt, że wódkę nalewały do kieliszków obywatelki kelnerki. Ponieważ były miłe i zbliżały się do konsumentów na odległość ręki, nikt specjalnie nie ubolewał nad brakiem samoobsługi. Jednocześnie nikt nie był na tyle podchmielony, aby ową rękę pochwycić. Być może, wpływała na to obecność pań redaktorowych. Temat — rzeka. Przemilczymy.

Toastów natomiast nie brakowało. Nie zauważyliśmy, by wznosili je przedstawiciele prasy lubelskiej. Niemniej podniósł się zza stołu dyrektor Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego, znany z walki o czystość języka polskiego. Tym razem, widocznie stremowany, powiedział wznosząc kieliszek do góry: „Jakby nie było". Jakkolwiek by było nieco spudłował, co odnotowujemy dla potomności.

Nie brakowało również podarków. Z całej Polski przywieźli je redaktorzy bratnich popołudniówek. Redaktor z Katowic wręczył „Kurierowi" talerz z węgla. Prezent nadzwyczaj praktyczny: w razie syberyjskich mrozów będzie można lepiej ogrzać lokal redakcyjny. Spostrzegliśmy również koszmarnie jaskrawą parę ze Szczecina, która miała symbolizować sztukę ludową. Pozostałe prezenty były zawinięte w papier. Należy wierzyć na słowo, że przedstawiciel „Expressu Wieczornego" przywiózł serwis do kawy (wykonany w związku z 25-leciem warszawskiej gazety). Przedstawiciele prasy lubelskiej nic nie dali „Kurierowi". Czyżby znów ostatnie słowo miał ośmiozwój, gnieżdżący się w kieszeni dyrektora Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego?

„Kamena" zamierzała wcisnąć red naczelnemu „Kuriera" banknot 500-złotowy z prośbą o wydanie 499 złotych i 97 groszy reszty. Byłaby to specjalna nagroda dla autora popularnych „Trzech groszy". Niestety, przed pierwszym nigdzie nie można było pożyczyć pięćsetki, zapewne red. naczelny „Kuriera" nie mógłby z kolei nigdzie pożyczyć tej reszty. Pomysł upadł więc z powodu siły wyższej.

Lubelska Rozgłośnia Polskiego Radia błysnęła dowcipem. Do red. Gnota zbliżył się sprężystym krokiem red. Weresiczak dzierżąc w dłoni magnetofon marki „Phillips". Ponieważ Lubelskie Wydawnictwo Prasowe obdarza redakcje jedynie magnetofonami produkcji polskiej, które służą ZURT-owi w celach eksperymentalnych, wielka radość zapanowała w całym zespole „Kuriera". Niestety, radość przedwczesna. Radio odtworzyło jedynie z tego magnetofonu specjalną audycję przygotowaną na 15-lecie „Kuriera". Trwała niedługo, wszyscy wytrzymali. Tym łatwiej, że kieliszki stały puste.

Ogólny nastrój uroczystości — w miarę poważny, w miarę smutny. Bądź co bądź 15 lat to prawie wiek męski, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy młodzież szybko dojrzewa. Tak ów nastrój można ocenić zza biesiadnego stołu. Co nastąpiło dalej — przemilczymy. Sprawozdawcy KAMENY już zabrakło. Stąd relacja jest niepełna, ale i tak nie została ona napisana po telefonicznej rozmowie, jak to się niekiedy dzieje ze sprawozdaniami ukazującymi się na łamach lubelskich dzienników...

MAJ

P.S. „Kurier Lubelski", drukując w numerze jubileuszowym teksty nadesłanych depesz, dokonał pewnych skrótów w telegramie od „Kameny". Z okazji 15-lecia ogłaszamy amnestię i nie wspominamy o tym, że wypadało usunięte zdania... wykropkować.

Przeczytacie m.in.

W następnych numerach „Kameny" zamieścimy m. in. artykuły: **Stanisława Winnickiego** (o miejskiej sieci osadniczej Lubelszczyzny), **Ryszarda Chodźki** (kontrrecenzja z książki „Zgrzyt" E. Redlińskiego), **Jacka Orzechowskieego** i **Ryszarda Siwiły** (o czteroletnich doświadczeniach Rady Szkoły do spraw Młodzieży), **Jiři Damborsky'ego** (o polonistyce w Ołomuńcu), **Leszka Siemiona** (o akcji w Pohulance), **Czesława Gawdzika** (o projekcie koncepcyjnym nowej WSR). **Stefana Stępnia** (o współczesności i historii — na marginesie książki G. Barraclougha), **Romualda Polińskiego** (o kadrze ekonomicznej), **Jana Sołygi** (o członkiniach Lubelskiego Związku Kobiet), **Kazimiery Gawareckiej** (o Janie Riabininie), **Bohdana Królikowskiego** (o lubelskich miłośnikach dawnych militariów).

Rys. M. Olszewski

Noty i notki

Muszę się upomnieć o kolegę. Pani Lucyna Woyciechowska z „Expressu Wieczornego" brała udział w sesji krytyków teatralnych, która odbyła się w Lublinie. Potem napisała coś w rodzaju recenzji spektakli, które tu oglądała. Do „wyróżniających się treścią i formą sztuk" zaliczyła pięć, wymieniając tytuły i nazwiska autorów, właśnie z wyjątkiem autora „Sprawy majora Hubala" — a nie jest żadną tajemnicą, **że chodzi o naszego pracownika Mirka Dereckiego.**

„Miasto dysponuje zaledwie trzema dostępnymi szerokiej publiczności szaletami komunalnymi oraz jedną redakcyjną wygodą" — użalił się „Słowo Ludu" (nr 66). Możemy pocieszyć kieleckich kolegów, że wprawdzie w Lublinie mamy tylko jeden szalet publiczny, ale znacznie więcej „wygód" redakcyjnych. Ocena, co jest bardziej sprawiedliwe, zależy od punktu... siedzenia.

„Student przeciwko sobie ma wszystko... musi chodzić na wykłady, przygotowywać się do ćwiczeń, zdawać w nieprzekraczalnym terminie wszystkie wymagane egzaminy i zdobywać zaliczenia" — skarży się Krystyn Sarnecki w „itd" (nr 11). Nie tylko płakać nad rozpaczliwą dolą studenta, albo zezwolić mu, aby nie chodził na wykłady, nie przygotowywał się do ćwiczeń, nie zdawał egzaminów i nie zdobywał zaliczeń. Tylko — co dalej?

Mamy pretensje do uczniów szkół podstawowych, że nie umieją matematyki. Ale jakim cudem mają umieć, jeżeli jest taka sytuacja, o jakiej doniósł „Głos nauczycielski" (nr 13). Oto w kuratorium warszawskim 123 słuchaczom zaocznego studium nauczycielskiego kazano w ciągu 60 minut rozwiązać 18 zadań tekstowych, zawartych w podręczniku dla klasy IV szkoły podstawowej. 38 proc. nauczycieli otrzymało dwóje, 33 proc. ocenę dostateczną, a zaledwie 15 rozwiązało wszystkie zadania.

„Gdy się komin przeczyści, to i telewizja swój program poprawi" — twierdzi optymistycznie anonimowy autor podpisu pod zdjęciem w „Kurierze Lubelskim" (nr 71), przedstawiającym kominiarza na dachu przy kominie i antenie telewizyjnej. Za rozsiewanie fabrykowanych nadziei autor powinien być ukarany.

Z czego to ludzie potrafią żyć... Na domu przy ul. Lubartowskiej 24 w Lublinie wisi szyld: „Wyrób koszyków wikliniowych do suszenia probówek".

Pozamieniano lub poznoszono u nas różne sztywne limity i przydziały, ostały się tylko sztywne procenty marży gastronomicznej. Dzięki nim tabliczka zwykłej czekolady za 19 zł w „Europie" kosztuje 38 zł, a po godz. 23 z dodatkiem 35 proc. — 48,60 zł. Chyba coś przesolono w cenie tego słodkiego artykułu.

JOD

Fragment podpisu pod zdjęciem w „Sztandarze Ludu" z 13 marca: „wiele pucharów, nagród i upominków wręczono podczas sobotniej uroczystości zakończenia IX Konkursu- Plebiscytu w Klementowicach. Na zdjęciu — red. Ryszard Wolak wręcza puchar naszej redakcji i gratuluje zwycięstwa w turnieju kapitanowi żeńskiego zespołu LZS Klementowice". Zgodnie ze starą zasadą, że od odznaczanego ważniejszy jest odznaczający, kapitan zespołu żeńskiego (kapitanka?) występuje anonimowo i w dodatku sfotografowana jest od tyłu, podczas gdy red. Wolak prezentuje na zdjęciu pełnię uśmiechu.

Zazwyczaj najpierw instytucja wprowadza się do nowego lokalu, a potem dopiero po jakimś czasie instalują jej tam telefon. Chwalebną odwrotność i to z dużym wyprzedzeniem uzyskał lubelski oddział „Głosu Pracy". W książce telefonicznej Lublina na lata 1970—71 czytamy: „2-97-64 redakcja „Głos Pracy" Krak. Przedmieście 63". Tymczasem, choć mamy rok 1972, jako żywo, **ani pod podanym wyżej** numerem, ani adresem redakcja „Głosu Pracy" (odmienia się!) nigdy dotychczas nie egzystowała.

F. Piątkowski donosi w „Sztandarze Ludu" z dnia 24 marca, iż Kazimierz Braun, dyrektor Teatru im. Osterwy w Lublinie, po kilkuletniej batalii uzyskał w Ministerstwie Kultury i Sztuki zgodę na sprzedawanie studentom na pół godziny przed spektaklem **biletów ulgowych po 10 zł.** „Życie Warszawy" nie zorientowane zapewne, komu to zawdzięczamy, podało 24 marca postanowienie MKiS o przyznaniu ulg w wysokości 50 proc. wszystkim uczniom szkół ponadpodstawowych oraz studentom **wszystkich teatrów i kin.**

Skończył się Międzynarodowy Dzień Kobiet. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Lublinie ogłosiło, iż przyjmuje zapisy, wyłącznie mężczyzn, na kursy kierowców trolejbusowych. W dwa dni później prasa doniosła, iż ciągle brak wolnych miejsc pracy dla kobiet. Tymczasem niedawno jeszcze zatrudnianie kobiet na tych stanowiskach traktowano jako jedną z form złagodzenia kryzysu w tym względzie.

WIR

Odpowiedzi redakcji

W. P. w Matyldowie. Trzeci raz już przesyła Pan swoje wierszyki do naszej redakcji. „Tym razem bardziej lepsze i znakomitsze utwory do druku". Ponieważ i tym razem nasze zdanie na temat przesłanych utworów jest całkiem odmienne od Pańskiego, więc dla rozstrzygnięcia sporu przedstawiamy czytelnikom fragment jednego z tekstów:

Nareszcie przyszło słońce,
Radosne, dobre słońce.
Kwitną stare kasztany
W ten czas kochany.

Z sielskim pozdrowieniem zostajemy i w bezradnym oczekiwaniu na werdykt czytelników.

A. C. w Rozwadowie. Wiersze nadzwyczaj konwencjonalne, tego się już dziś nie da czytać bez znudzenia. Gdyby to były czasy Konopnickiej, to jeszcze... Czyli Pańska świadomość literacka błądzi w czasach dawnych, istnienia współczesnej poezji nie uwzględniając. Proponujemy — jak zwykle w takich przypadkach — intensywne lektury. Czy zalążki talentu są, to się dopiero może okazać, gdy autor osiągnie już pewien wymagany próg kultury literackiej. Dziękujemy za życzenia sukcesów.

A. A. w Lublinie. Wyjaśnijmy sobie parę spraw. Jeśli tekst uznajemy za dobry, wówczas idzie — wcześniej lub później — do druku. Ot i cała zasada, na jakiej się u nas publikuje poezję. Czyżby Pani o tym nie wiedziała? Pisze Pani ponadto: „Nie zależy mi na tym, by ukazało się moje nazwisko w prasie, ale po prostu chciałabym, by ktoś czytał moje wiersze, może odpowiadałyby czyimś uczuciom". Tkwi w tym pewna sprzeczność i — naszym zdaniem — nie trzeba się wstydzić swojej potrzeby opublikowania własnych tekstów. Ostatecznie do tego zmierza każdy autor i piękna jest ta potrzeba podzielenia się z drugim człowiekiem własnymi myślami i przeżyciami. W Pani przypadku wydaje nam się, że warto by nieco bardziej refleksyjnie podchodzić do świata, zaś w tekstach wystrzegać się motywów poetycko ogranych: „łzy odchodzącej jesieni" (mataforyczne określenie deszczu), „szarość jesiennej trawy" etc. Musi się Pani zdobyć na bardziej śmiały gest poetycki, byle by to nie był gest pretensjonalny.

J. W. w Bydgoszczy, Janusz Ptak, J. K. w Niemcach, M. K. w Dąbrowie, „Anna G. z Lubelskiego", W. A. S. w Przemyślu, L. M. w Chojnicach, P. R. w Lublinie, R. G. w Krośnie, L. W. w Lublinie — teksty nie zyskały naszej akceptacji.

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Tego jeszcze nie było w naszym niezależnym organie. Serial, bo na seriale dziś moda. Powieść, którą po skróceniu drukujemy w odcinkach, wygląda na autentyczny folklor młodzieżowy, należy bowiem podejrzewać raczej zbiorowy akt twórczy, a tekst krąży w ręcznych odpisach głównie między dziewczętami w wieku szkolnym. Tytuł dzieła — „Smak miłości i łez". Dopisek — „Autor nieznany, życie współczesne". W czasach, kiedy oficjalna młoda proza pławi się w okrutnościach perwersyjnej miłości, nasza młódź kultywuje cudownie liryczne i serdeczne wzorce uczucia, łagodnego, prostego i nieśmiertelnego.

(1)

Było już późno. Babcia podeszła do okna, spojrzała na piękne niebo. Ponieważ był to maj, jeden z najpiękniejszych miesięcy w roku, otworzyła szerokie okno, oparła swą pomarszczoną twarz o wychudłe ręce i spokojnie opuściła wzrok na dół, skąd unosił się piękny zapach kasztanów. Blok, w którym mieszkali państwo Grodzcy, znajdował się na najmniejszej dzielnicy Miłowa. Z jednej strony okna jego wychodziły na ładną ulicę Królewską, a z drugiej — kasztany. Tam również wychodziły okna państwa Grodzkich. Babcia pod wrażeniem tego pięknego wieczoru zapomniała, gdzie się znajduje. Dookoła było tak, że nawet natrętne samochody, również nie chcąc zakłócać tego pięknego spokoju, przestały plątać się po jezdni. Od czasu do czasu gdzieś w oddali zza miasta dolatywał rechot żab. Babcia wsłuchana w tę melodię, dłuższy czas nic nie słyszała. Aż nagle z dołu posłyszała cichy szept. Utkwiła w tym kierunku wzrok. Oczy jej ujrzały sylwetkę okrytą ciemnym swetrem i jasną spódniczką. Obok tej sylwetki wykonywała twierdzące gesty jakaś inna osoba, ubrana chyba na kolor brązowy, widziała tylko ciemne włosy okrywające skroń. Babcia wytężyła wzrok i poznała... Ninę. W tej chwili ogarnął ją gniew, ale po chwili przystąpiła miejsca miłości dla wnuczki. A więc ta druga osoba to chłopiec, z którym Nina spotyka się od miesiąca. Babcia patrzyła na dół. W tej chwili nie mogła rozróżnić dwojga osób. Na darmo czekała może dwie minuty.

Mariusz, takie było imię chłopca, bawił się długimi, spadającymi na ramiona włosami Niny. Ręce jego pieściły jej szyję, a usta ich co chwilę łączyły się w długie pocałunki.

— Nie idź, nie zostawiaj mnie samego. Zostań ze mną, Nineczko. Nie zabieraj mi twych gorących ust.

Ona milczała. Błądził ustami po jej wysmukłej szyi, całował jej ramiona.

— Już pójdę — rzekła po chwili. Nie pozwolił jej więcej mówić. Jego wypukłe usta złączyły się z jej kolorowymi.

Babci w oczach kręciły się łzy. Smuciła się a zarazem była zadowolona. Nieustannie śledziła stojącą pannę pod kasztanem. Starała się usłyszeć każde ich słowo. Nie słyszała jak do pokoju wszedł jej syn, pan Grodzki, i cichutko podszedł do okna. Otworzył drugie okno i utkwił wzrok w dwie złączone w jedną sylwetkę. Targnęła nim szalona złość. Już miał sypnąć z okna całą masę ostrych słów na swoje jedyne dziecko, ale wstrzymał się, bo usłyszał słowa:

— Nineczko, do jutra. Jutro niedziela, pójdziemy nad rzekę, jeśli będzie taka pogoda jak dzisiaj, opalać się.

Chciała już biec do domu. Wiedziała, że znowu będzie to, co kiedyś, a jednak odejść nie mogła, chociaż trzeba było. Podała mu rękę.

— Kocham cię jak żadnej dotychczas. Nino, jesteś celem mego życia.

— Idź już, mój Mariuszu.

Nie wiedział, jak postąpić. Nina weszła do kuchni, gdzie ujrzała zdenerwowaną matkę, która kończyła ścierać podłogę. Krótko mówiła do stojącej w drzwiach Niny:

— Gdzie byłaś do 24.00?

(Dcn.)